№ 30 Warszawa, dnia 12 (24) Lipca roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

DESKA Z ROZBITEJ ŁODZI.

Wolny przekład z **Franciszka Coppée**

przez **S. z Ż. D.** *)

W bliskości morza, u chaty progu,
Do matki głowę tuli chłopczyna,
Życie im dotąd biegło po Bogu,
Dziś rozbolała dusza matczyna;
Żal toczy serce, lica się mienią!
Ot nie ma roku; późną jesienią,
Wiatr zadął wściekły, ryknęła burza,
Nie zwalczyć prądów ludzkiemi siły,
Dwadzieścia łódek w głąb się zanurza!
A kiedy wody wstecz ustąpiły,
I słonko chmurę przebiło czarną,
Przy płaczu sierot, przy matek jęku,
Druhy ponieśli na własnym ręku,
Dwadzieścia trumien w ziemię cmentarną.

Pół roku zbiegło, a serce wdowy
Z jednakim bólem niebu się żali,
Patrzy jak słońca promień różowy,
W chwili zachodu igra po fali,
Pomkły od brzegu rybackie łodzie,
Niby mew stado zdala się bielą,
Suną leciuchno po tejże wodzie,
Co innym straszną była topielą,
A jej zabrała skarb życia wszystek!

Morze na słońcu błyszczy tak pięknie,
Niewiasta patrzy i drży jak listek,
Pierś jej od żalu mało nie pęknie.

Po chwili smutno rzecze do syna:
— „Biedny twój ojciec! jego w tem wina!
Wypada braci wspierać w potrzebie,
Alež i w dobrem nie przebrać miary;
Życia nie kupisz! nawet Bóg w Niebie
Takiej od ludzi nie żąda ofiary.
Byłaż to pomnę zamieć straszliwa!
Ojciec z dalekiej powrócił drogi,
Ciepłą polewkę smaczno spożywa,
Patrzy z radością w domowe progi.
—Dziś bym na morzu nie rad być wcale,
Z pogodnym do mnie rzecze uśmiechem,
Kłębami morskie pryskają fale,
Snać czart piekielnym wzdyma je śmiechem!—

Zapalił fajkę, za próg wybiega,
A tłum gawiedzi stoi u brzega,
Ściga oczyma kipiące wały,
Cóż to się czerni tam, z po za skały?
—O! słodki Jezu! okręt się zbliża!
Postrach na każdej odbił się twarzy,
Ojciec w powietrzu skreślił znak krzyża,
I milczy chwilę, coś w myśli waży,
Okręt tymczasem w szalonym pędzie,
Ugodził w strome skały krawędzie.

Zerwał się ojciec, jam skamieniała
—Gdzie łódź? zakrzyknie, dalejże druhy!
Próżno się żyma gromada cała,
—Szał cię opętał!—ależ on głuchy,
Krzyknie piorunem:—do łodzi! nuże!
My dzielni majtki, nie podli tchórze,
Oto łódź moja, łódź doświadczona,

*) Poemacik ten ulubionego poety francuzkiego, odczytany był publicznie 1-go maja r. b. na dorocznem zebraniu *Towarzystwa Ratunku dla Rozbitków*.

Dwadzieścia trzy lat temu, towarzystwo to powstało we Francyi. Pobudkę do niego dał słynny malarz Gudin, przez pamięć brata, który padł ofiarą morskiej burzy. Na wszystkich wybrzeżach francuzkich, staraniem towarzystwa utrzymywane są szalupy, gotowe do ratunku na pierwsze hasło.

Za przykładem Gudina, poszli inni, dary sypnęły się hojnie, na utrzymanie tak dobroczynnego zakładu. Hrabia Chateauvillard zapisał na ten cel znaczny swój majątek. Ofiary dotąd nie ustają, w tym oto roku, panna Foubert złożyła towarzystwu 10,000 franków.

Na tegorocznem posiedzeniu czterech majtków otrzymało medale. Oprócz tego przyznano 10,000 fr. nagrody kapitanowi Lary, który odwagą osobistą i wielką przytomnością umysłu, uchronił okręt od rozbicia.

Z ostatniego, sprawozdania dowiadujemy się, że od początku istnienia swego *Towarzystwo Ratunku*, rozdało 24 medali złotych, 104 srebrnych, 200 brązowych i 417 pochwalnych dyplomów. Dzięki tej instytucyi, uchroniono od rozbicia 425 statków, ocalono życie 1832-om osobom. Ileż mówią same te cyfry!

Poemacik Coppego, zdaje się być osnuty na rzeczywistem zdarzeniu, na tegorocznej bowiem wystawie sztuk pięknych, widzimy dwie odpowiednie sceny powtórzone w dwóch pięknych i wymownych obrazach. Na jednym pędzla Renouf'a, młoda wdowa w żałobnej odzieży, klęczy na małym wiejskim cmentarzu. Z głęboką boleścią, oczy wlepiła w kamień, pokrywający zwłoki męża. Obok matki klęczy dziesięcioletni synek; niespokojnem okiem patrzy na morze, przypływające do wybrzeży.

Drugi obraz Poirsona, przedstawia tłum ludu, zebrany w przystani morskiej. Rozpasane fale piętrzą się na szerokim obrazie. Wśród nich czerni się okręt. Wicher potrzaskał maszty, poszarpał żagle. Lud patrzy z boleścią na rozbitków, kapłan podniósł krucyfiks, kreśli nim w powietrzu znak krzyża. Na pierwszym planie tymczasem, krzepki jak dąb młodzian, wydziera się z objęć starej matki, gotów rzucić się w rozhukane fale na pomoc nieszczęśliwym.

Oba te piękne obrazy, nagrodzone zostały medalami.

Wiatr jej nie skruszy, prąd nie pokona,
Imię jej *naprzód*! kto w Boga wierzy,
Za mną.
Szaleńcy pomkną zuchwale;
I wszystkich wściekłe pożarły fale!
Odtąd to śledzę wciąż u wybrzeży,
Ilekroć morze wstecz się obraca,
Czy gdzie deszczułka w piasku nie leży?
Ni śladu po niej... daremna praca!
Wicher ją poniósł w świat gdzieś daleki!"

I łza z pod zbrzękłej ściekła powieki,
Popieści synka, znów rzecze słodko:
—„Ty mi zostałeś biedny sierotko,
Jedynym skarbem, w żywota nędzy,
Rośnij mi dziecię, rośnij co prędzej,
Ale mi przyrzecz: nigdy broń Boże,
Ty się nie puścisz synku na morze!"

Chłopczyna milczy, coś duma skrycie,
O towarzyszach, jak tam o świcie,
Łódki rybackiej ten ów się czepi,
Jak śmiało wiosłem pluska po wodzie.—
W szkółce sierota uczy się lepiej
Od rówienników, lecz cóś go bodzie,
Unużonemu trudy szkolnemi,
Zamiast ostrożnie stąpać po ziemi,
Byłożby milej wolnego czasu,
Z kipiącą falą iść do zapasu!
Niekiedy wprawdzie matka pozwala,
Gdy z brzegów morze ustąpi zdala,
Na piasku drobne zbierać muszelki:
Czasem się omar przyczepi wielki
Do stromej skały,—chłopiec go chwyta,
Alež on na tem rad nie przestaje,
Chciałby się napić wiatru do syta,
Popłynąć morzem w nieznane kraje,
Skąpać źrenice w słonecznym blasku,
Wśród oceanu wielkiej przestrzeni,
Rybie nie wytrwać długo na piasku!
Dni jego biegu nic-że nie zmieni?
Jednem się kołem życie obraca,
Cichy spoczynek, lub szkolna praca!

Płyną dnie, lata, i znowuż oto
Wichry z jesienną zadęły słotą,
Ryknęło morze, fala się wścieka,
Rybacy w porcie ścicha coś gwarzą,
Wskazują w przestrzeń z wylękłą twarzą,
Coś tam czarnego miga z daleka;
Wielki żaglowiec pędzi na skałę,
Nagle o krawędź rudlem uderzy.
—„Na łódź! co żywo kto w Boga wierzy!
Głos w tłumie woła,—hej zuchy śmiałe,
Za mną, do wioseł! powinność święta!"

Kupią się żwawo starzy i młodzi,
Strasznej przygody któż nie pamięta?
Ale bezczynnie stać się nie godzi,
Zgiełk, wrzawa, zamęt, wdowa strworzona
Objęła chłopca w oba ramiona.
—„Pomnij coś przyrzekł, ej! strzeż cię Boże,
Nie pójdziesz synu nigdy na morze!"

Chłopiec z rozpaczą zagryza wargi,
Nie wyrzekł słowa żalu ni skargi,
Lecz jego lice płomieniem gore,
I łza gorąca z ócz mu pociekła,
Kiedy na druhy pogląda skore;
Wnet z łodzią fala porwie ich wściekła.
W tem ciężki bałwan na brzeg się stoczy,
Ryknął i pianą wytryska białą,
Cóż on to rzucił chłopcu przed oczy?
Jakąś deszczułkę rzucił spróchniałą;

Patrz... słowo *Naprzód* wyryte na niej!
Atlantyk dobył z dna swych otchłani,
Rozkaz ojcowski!... syn go rozumie!...
Okropnym płaczem wybucha wdowa;
Milcz biedna matko! próżne twe słowa!

Wyrwał się z rąk jej... w bratnim już tłumie,
Dopadł do łodzi, chwycił za wiosło,
Fala piorunem statek uniosła,
Tłum za dzielnymi powiódł oczyma,
Ot, nowy bałwan straszno się pieni.
—Ratuj Maryjo! łódź nie wytrzyma...
Znikli pod wodą...—wszyscy zgubieni!
W tem łódź wybiegła górą nad fale,
Pędzi na okręt... tuż... tuż przy skale...
Oh! czas był jeszcze trud ich niemarny,
Patrz... tłum na łodzi roi się czarny.
—Dzielneż to serce zapłać im Boże!

Żwawo do brzegu pędzi ich morze,
Łódź pełna wody, ciężar nielada!
—Rzućmyż im liny!... ciągnijmy śmiało!
—Witajcie! iluż tam ocalało?
—Wszyscy! padł okręt szarpan na ćwierci,
Ale rozbitki uszli od śmierci!

Morze się pieni, straszno grzbiet jeży,
Lecz wielka radość tam u wybrzeży,
Ah! kto szczęśliwszy... niebo niech powie,
Czy ocaleni, czy też majtkowie?
Wdowa ogarnie syna ramiony,
Jakiś mu wyrzut szepcze tajemnie...
—„Przebacz! zawoła syn ukorzony,
Nie łaj mnie matko, ojciec rad ze mnie!

Złamane życie.

fragment do powieści

PRZEZ

ŻOZJANA.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały górzystą okolicę. Drzewa świerkowego lasu zarysowały się na tle ognistego firmamentu na kształt olbrzymich postaci, spoglądających z zadumą z wierzchołków i grzbietów gór na piękne doliny otulone płaszczem zmroku. Cisza panowała w około; tylko zdala dolatywały, gubiące się w przestrzeni odgłosy dzwonków, wracającego z pastwisk bydełka. Po skwarnym dniu lipcowym, miły chłód wieczoru orzeźwiał przyrodę; leciuchny wietrzyk muskał kryształową powierzchnię strumyka, wijącego się przez parowy i rozdoły. Słońce zaszło już zupełnie. Kształty drzew zdawało się wzrosły jeszcze i groźnie wystawały z ciemnego tła sklepienia. Z drugiej strony, z za góry wysunęła się blada twarz księżyca: kochanka nocy, olśniewając swemi srebrnemi promieniami wspaniałe stoki gór.

Na oświetlonym załomie skały, spadającej ku strumykowi, ujrzałem postać jakąś fantastyczną, odzianą łachmanami, opartą nieruchomie o stromą ścianę skały. Zbliżyłem się na kilkanaście kroków, ażeby się dokładniej temu zjawisku przypatrzyć. Był to mężczyzna. Włos długi spływał mu na ramiona szerokie, okalając bujnemi sploty chudą twarz bez cery, z której niepodobna było rozpoznać wieku. Z pod ciemnych brwi błyszczały nieruchomie w dół utkwione oczy, zapadnięte w głąb. Z zakroju twarzy, pomimo nędzy, malującej się na wystających kościach, znać było dawne piękno.

Strumyczek szemrał cichą modlitwę wieczorną, potem weselej zadzwonił po kamykach; czasem swawolnie poigrał z zwieszonym listkiem kwiatka, rosnącego na brzegu, to znowu pocałunkiem lśniącej swej fali wabił gałązkę schylonej brzózki, by popłynęła z nim ku dolinom—gałązka płocha, niby słucha głosu swawolnego kochanka, popłynie chwilkę z falą, potem zalotna tem szybciej ucieka do sióstr swych, gałązek srebrzystych.

Nieznajomy stał, jak posąg nieruchomy, tylko w oczach, jego coraz silniejszy płonął ogień. Powoli schylił się ku ziemi, przykląkł, pochwycił u stóp leżące skrzypce i z wzrokiem zatopionym w gwiaździstem sklepieniu, grał.

Ręką mistrzowską poruszone struny, cicho rozpoczęły pieśń jakąś nieznaną. Ciche tony zlewały się w harmonią smutku i tęsknoty. Pieśń rzewna całą wypełniała pierś człowieczą; powoli zlała się z bólem, i zdało mi się, że słyszę cichą boleść łez, padającą na zranione serce. Rzewność pieśni nikła, schły te czyste łzy, a ogień coraz większy zapalał pieśń. Ogień wzrastał, pieśń opanowywała coraz większa, silniejsza namiętność, skrzypce zdawały się wrzeć burzą, wtorującą piorunom, które ciskały oczy muzyka. Potem znowu łagodna odezwała się melodya, cicha prośba, błaganie—potem pauza... I znowu boleść, ale okropniejsza, jak mgnienie szarpnęła strunami, potem jęk straszny rozdzierający i cisza zupełna...

Muzyk rzucił od siebie skrzypce, upadł bezwładnie na twardą skałę, a wśród nocnej ciszy dolatywały mię łkania, płacz namiętny, konwulsyjny.

Nie przerywając ciszy zbliżyłem się na odległość kilku kroków. Spoglądałem ze współczuciem na nieznajomego wirtuoza, którego tajemniczą boleść odczuwało moje serce.

Nagle porwał się z ziemi, postąpił chwiejnym krokiem ku stromemu brzegowi strumyka, pochylił się ku niemu; jakaś myśl przebiegła mu przez rozpaloną głowę, postąpił krok naprzód, pochylił się jeszcze bardziej, gdy, jakby przypominając sobie coś wrócił do porzuconych skrzypiec, podniósł je, przycisnął do piersi i poskoczył ku urwisku.

Stanąłem przy nim.

Wstrząsł się cały, dziwnym, obłąkanym wzrokiem spojrzał na mnie, wyciągnął dłoń, jakby mię chciał usunąć z drogi. Ręce mu drżały, pierś wrzała wewnętrzną walką, przez gardło z trudnością dobył się głos stłumiony, w którym znać było wysilenie:

— Puść!...

Milcząc wskazałem niebo. Opuścił powoli rękę wyciągniętą ku mnie; powoli zniżyły się kolana, usiadł i ręką podparłszy czoło zadumał się głęboko.

Milczenie trwało długo. Po długiej, długiej chwili, jakby ocknąwszy się ze snu, rozgarnął włos długi, spojrzał na mnie przeciągle i wyciągnął dłoń.

— Zastąpiłeś mi drogę do śmierci, *ocaliłeś* życie: mając na względzie wielkość tego, ocalonego skarbu, wdzięcznym ci być powinienem... Życie wy nazywacie klejnotem, skarbem nieocenionym; tyś mi je darował; hojny z ciebie dawca... dajesz tak drogi skarb... Który cię nic nie kosztuje... niepomny, że ja może pod ciężarem tego skarbu złamię się, upadnę, a nie mogąc go znieść w całości, roztrwonię może po życia drodze, zmarnotrawię to wielkie mienie...

W głosie drżącym przebijała gorycz, ironia i szyderstwo, a ręka wyciągnięta ku mnie sterczała tak dziwnie, złowrogo, martwo!

Po chwili złagodniał wyraz jego twarzy, pierś oddychała wolniej.

— Nie chcę być niewdzięcznym, tyś postąpił z najszlachetniejszych pobudek, więc dzięki ci za współczucie i ten objaw serca...

— Znam boleść, zatruwającą życie i pojmuję twoją, lecz przyjacielu, czyż godzi się zwątpić o przyszłości, i wyrywać się z jej kolei?

— ...Przyjacielu... któż to mię nazywa przyjacielem? To pierwszy raz w życiu słyszę ten wyraz... młodzieńcze, ty zwiesz mnie przyjacielem, nie znając wcale, o, strzeż się mojej przyjaźni! Za mną w ślad kroczy jedyny mój przyjaciel, zazdrośny okropnie... jednego jego tylko mam od kolebki, tym przyjacielem *nieszczęście*!

— I ja go zaznałem w niejednej chwili młodocianego życia, ale czyż nie ma ukojenia w niczem? Tyś artysta, w piersi nosisz bóstwo; czyż tony muzyki nie złagodzą twego nieszczęścia, nie ukoją bolu; wszak artysta jedno tylko szczęście mieć powinien, a tem: sztuka!

— Tak, muzyka koi nie boli, ona jest tą siłą, która powstrzymuje zdala rzucające się na mnie furye, ale powstrzymuje na chwilkę tylko, dokąd pieśń nie rozbudzi uśpionej w mem sercu żmii, którą na wieczną pamiątkę dała mi kobieta... A ja jedną tę tylko pieśń znam, wiecznie ona się powtarza...

Jęk wyrywający się z głębi piersi, przerwał mu mowę. Po chwili ocknął się znowu, wziął mię za rękę, pociągnął ku sobie z gorączkowym pośpiechem mówiąc:

— Ocaliłeś mi życie, chodź posłuchaj jego historyi, abyś wiedział jak cenić ten czyn.

Pierś jego uspakajała się powoli, głowę przytulił do skały, szukając ochłody Blade światło księżyca oświetlało wzburzoną walką wewnętrzną twarz. W oczach ogień przygasł; tylko zabłysło w nich coś nakształt pereł łez. Lecz i to znikło. Przetarł ręką po czole, odgarnął włos i trzymając mą dłoń, którą czułem gorączkę jego pulsu, zaczął opowiadać.

— Byłem sierotą. Dola moja, ot zwykła—sieroca dola! Znalazł się poczciwy opiekun, ubrał, posłał do szkoły, a że uczyłem się dobrze, więc był zadowolony i nieodmówił pomocy nigdy. Przyszła starucha z kosą i zabrała mi opiekuna i dobrodzieja; mnie wyszczerzyła zęby, zaśmiała się z szyderstwem i zostawiła ze smutkiem i niedolą, siostrzycami tak chętnie lgnącemi do sierot. Byłem już w piątej klasie. Ten i ów z nauczycieli zlitował się i polecił na korepetytora. Miałem lekcyi kilka, więc choć niebardzo wesoło i dostatnio, żyłem jakoś. Strudzony kilkogodzinną pracą z mymi elewami, spieszyłem późnym wieczorem do domu na suchy kawałek chleba i pracę nad samym sobą. Przy słabem świetle małej lampki siedziałem późno w noc nad książkami. Nieraz uczyłem się lekcyi do godziny dwunastej w nocy. Zamknąwszy książkę szukałem wytchnienia w muzyce. Rzecz dziwna, im dłużej grałem, tem mniej czułem zmęczenia; lżej mi było na sercu, pierś odychała wolniej, swobodniej; zapominałem o całodziennych trudach i byłem szczęśliwym...

Tak, byłem szczęśliwym. Życie regularne w pracy, ciągły postęp w nauce, zadowolenie nauczycieli, zdobywanie coraz więcej tajemnic w świecie tonów, spokój niezamącony niczem, czyniły mię tak szczęśliwym, że mię nie raziły nagie ściany mojej izdebki na poddaszu, smacznym mi się wydawał chleb twardy i suchy, a chociaż mróz brylantami obsypał okna, nie czułem zimna w nieopalanej, ale spokojnej komnatce.

Minęły dwa lata. W położeniu mojem nic się nie zmieniło. Skończyłem klasę siódmą. Minęły wakacye, wśród których karmiłem się i poiłem więcej widokiem pięknej przyrody i wonnym tchem atmosfery wśród gajów i łąk, bo chleba miałem mniej. Uczniowie wyjechali na wakacye, korepetytor był niepotrzebny. Minęły wakacye, i pracę rozpocząłem po krótkiem wytchnieniu na nowo. Między innemi dostałem jedną lekcyę materyalnie bardzo korzystną. Uczyłem jednego z mych zamożnych kolegów· Chłopak był pracowity, ale nie zbyt pojętny. Pracowałem więc z nim wiele, ażeby zadowolnić rodziców jego i umożliwić mu postęp w naukach. Nieraz, gdy wiele mieliśmy roboty, posiedziałem z nim dwie i trzy godziny dłużej, na czem zyskiwałem to, że już w domu nie potrzebowałem lekcyi powtarzać. Wówczas to, rodzice jego, widząc nas strudzonych zapraszali mię na podwieczorek lub wieczerzę. Nie wiem, czy nauki było z każdym dniem więcej, czy mój uczeń był mniej pojętnym, ale owe wieczorne lekcye powtarzały się co raz częściej. Sądzisz może, że biedny student zasmakował w wieczerzach; o nie! Bywałem po lekcyach coraz częściej u rodziców mego kolegi i coraz częściej widywałem jego siostrę, coraz częściej z nią rozmawiałem, nie zważając wcale, że na tych rozmowach upływały mi godziny, jak chwile. Mój kolega Bolesław, wspomniał, że grywam na skrzypcach; raz jakoś przypadkiem miałem u nich skrzypce ze sobą, prosili żebym zagrał, więc zagrałem. Obsypali mnie pochwałami. Panna grała na foterpianie, proponowano grę wspólną i zgodziłem się najchętniej. Odtąd każdą wolną chwilę spędzałem u mego kolegi. Bolesław robił znaczne postępy, nauczyciele nie mogli się dość nachwalić i otwarcie w obec jego rodziców mnie przypisywali ten nadspodziewany skutek. Cóż dziwnego, że rodzice bardzo radzi widzieli mnie w swym domu, że lubili i przyciągali ku sobie; cóż dziwnego, że Helena znajdowała mą grę piękną i najchętniej grywała ze mną?..

Uczyłem więc Bolesława, potem grałem z panną Heleną, a w nocy w domu—przepisywałem nuty i marzyłem...

I zaczęła się pusta moja izdebka napełniać obrazami złudnej wyobraźni, głowę mą przepełniały najrozmaitsze rojenia i po raz pierwszy uczułem chłód w izdebce, straciłem spokój, jaki mi dawało zacisze domowe,—tęskniłem.. Jakżeż liczyłem minuty i sekundy w szkole, by co prędzej usłyszeć głos dzwonka, wybiedz na ulicę, odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam duszno mi było; by pobiedz do domu, wziąć świeży kołnierzyk, najlepszy tużurek i ze skrzypcami pospieszyć do niej. Grałem przy fortepianie, a oczy zamiast w nuty, zatapiałem w jej lica. Ona kraśniała pod mym wzrokiem i lekki cień uśmiechu przebiegał jej usta dodając twarzy czaru i powabu. Kiedy podniosła wzrok na mnie, spojrzała śmiało, a tak jakoś pociągająco, iż oderwać oka nie mogłem od tego cudnego zjawiska i nie dziw, że serce straciłem. Muzyka naprowadzała nas na najpiękniejsze temata rozmowy. Mówiliśmy o uczuciach i o najpiękniejszem z nich.

Byliśmy sami.

Graliśmy wyjątek z „Fausta“. Ona grała zogniem i czuciem, ja przelałem cały zapał mój w struny posłuszne.

— Złe tu uczucia—odezwała się gdyśmy skończyli.

— O jaka prawda w niem, jaki oddźwięk serca przebija w każdym tonie, akordzie i w każdej barwie melodyi.

— Jak się nazywa to uczucie—zagadnęła po chwili milczenia i spojrzała swym czarującym wzrokiem w głąb mej duszy.

Rączką podparła główkę, czarne loki igrały ze śnieżną jej dłonią, śliczna twarz uśmiechnięta jaśniała rajem dla mnie, który wpatrywałem się w nią, jak w bóstwo.

Nie wiem cośmy dalej mówili. Dziś brak mi tych pięknych słów, które wówczas z przepełnionego miłością serca płynęły, dość, że wyznałem, iż znane mi to uczucie, że roztliło ono w głębi mego serca, że stało się całą moją istotą, że ona jest przedmiotem mej miłości, że ją kocham całą potęgą piersi młodzieńczej. Przykląkłem przed nią; ona wzruszona pochyliła się ku mnie, podała mi swą rękę i wyszeptała: kocham cię. Wyszeptała, bo głos jej tłumiło wzruszenie, ale ja słyszałem dobrze, wyraźnie: *Kocham cię!*

Cóż ci dalej opisywać mą miłość. Kochałem i byłem kochany. W dwudziestoletniem mem sercu zapanowało uczucie potężne i święte. Doznawałem rozkoszy których ci opisać nie potrafię i nie chcę, bo byś się śmiał może ze studenta ubogiego, który się kocha w ubogiej pannie, śni o niej, i rozkoszuje się w obrazie snów swoich.

Pracowałem więcej niźli przedtem. Połykałem prawie książki. O gdybyś mię był wówczas słyszał, kiedy zapytany przy egzaminie z literatury o znaczeniu uczucia w poezyi i objawie jego w epoce romantycznej, mówiłem z zapałem i przejęciem się, sypiąc poglądami i cytatami śpiewaków miłości. Profesorowie i koledzy dziwili się mej wiedzy, ja myślałem o *niej*, gdy mówiłem o Beatrice poetów.

Jak długo to szczęście moje trwało, niech obliczą chłodni wielbiciele kalendarzy—dla mnie było ono chwilką i nieskończonością...

Skończyłem pierwszy rok filozofii. Otrzymawszy bardzo korzystne miejsce nauczyciela na czas feryi na wsi, opuściłem miasto, tem chętniej, że i ona przed kilku dniami wyjechała do wód leczniczych i dopiero za dwa miesiące miała powrócić.

Praca, piękna przyroda, cichy jej głos, który do uczucia z każdego przemawiał kwiatka, uprzyjemniały mi rozłąkę. Dzień po dniu płynął mi prędko. Marząc o niej doczekałem się dnia powrotu do stolicy, dnia, w którym po pierwszem rozstaniu miałem ją ujrzeć znowu.

Promieniejący nadzieją pospieszyłem do nich. Panie były w ogrodzie. Wszedłem i w pierwszej spotkałem ją alei. Była piękniejszą, jak dawniej, w oczach jej jaśniał wyraz swobody i szczęścia. Myślałem, że to mój przyjazd tak ją ucieszył. Powitałem ją serdecznie, choci aż nie tak, jakbym tego pragnął, gdyż matka jej była obecną. Za nią stał młody mężczyzna, z którego postawy i ubrania widać było zamożność: po pierwszych słowach przywitania odezwała się Helena, wskazując owego pana: mój narzeczony...

Nie wiem co się wówczas na mem licu malowało; ręką uchwyciłem tuż obok rosnący kwiat róży i zgniotłem go, nie zważając na ostre ciernie, wbijające się w dłoń. Musiałem wyglądać strasznie, bo obie panie zawołały jednocześnie: panie, co panu takiego?...

— Nic, pani, zraniłem rękę kolcem róży, która uśmiechem swym zwabiła mię ku sobie—wskazałem dłoń, z której sączyła się krew.

Ona chciała mi dać swą chusteczkę, podziękowałem.

— Chwilkę tylko odpoczynku, a *ręka* ma będzie zupełnie zdrowa—wyrzekłem z gorączką, spoglądając na *nią* i jej narzeczonego. Panie pozwolą mi usiąść w chłodzie altanki, wkrótce będę służył...

Odeszły.

Zostałem w cieniu altany sam na sam z mojemi cierpieniami tylko. Zdawało mi się, że tysiące żmii pochwyciło mię w tej chwili za serce i jadem swym zatruwają je; krew cała zatruta, a zginąć nie

mogłem, bo moc trucizny w żyłach zajęła miejsce krwi i życie zrodziła nowe...

Żyłem—żyłem trucizną.

W głowie czułem ból straszny, w piersi paliło, jakby całe piekło tam wrzało. W oczach mi się ćmiło i widziałem tylko w pośród migających iskier jej twarz śmiejącą się, a w uszach brzmiało złowrogo: „mój narzeczony!...“

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, gdy lekki szelest obudził mię z odrętwienia, podniosłem się i ujrzałem moją kochankę!...

Tak, ona stała przede mną, a w oczach jej przebijała litość—litość przeklęta, którą obdarzają żebraka, gdy mu z karety rzucają zimny grosz w błoto ulicy; niech żebrak szuka oznaki litości.. Gwałtowna walka wewnętrzna tamowała mi oddech, dławiło mię coś, nie mogłem wyrzec słowa. Postąpiłem chwiejnym krokiem naprzód, okiem iskrzącem chciałem ją pochłonąć.

— Czy pan czujesz jeszcze ból w ręce?—zapytała, a w głosie usiłującym się uspokoić, czułem lekkie drżenie.

— W ręce! cóż tobie do ręki mej, masz już rękę innego, ręka żebraka nie dla ciebie, choć sercem jego igrałaś—zawołałem z szałem.

Ona spojrzała znowu z litością i wyciągnęła rękę ku mnie.

— Panie Zygmuncie, nie wyrzekaj przeciwko losowi, któremu uledz musiałem; nie zapominaj o twej przyszłości, dla której musisz przeszłość zapomnieć i teraźniejszość. Przed tobą otwarte pole do pracy, talent da ci stanowisko, na którem otoczą cię wszyscy uznaniem i szacunkiem.

Jej spokój oburzał we mnie wszystko.

— Szacunku ty mi dziś życzysz gdy ja pragnę miłości, serca.. szacunku! Czy ty wiesz że szacunek to zabójstwo dla człowieka, to śmierć za życia... ja nie chcę szacunku, ja nim pogardzam! Tyś serce mi zabrała i serce w zamian przyrzekłaś, choć cichym szeptem tylko, ale ja słyszałem dobrze; a dziś szacunkiem mię darzysz...

Na widok mej boleści, nie wiem, żal, czy ironia przebiegła jej usta, nie wiem, bo okiem mojem władała namiętność; chciała coś mówić jeszcze, gdy usłyszała wołania matki. Nie spojrzała na mnie i uciekła. Uciekła od szaleńca do uciech przy boku nowego kochanka—narzeczonego.

Postąpiłem kilka kroków, jakbym chciał ją przytrzymać ale mnie coś wstrzymało. Oprzytomniałem nagle i wyszedłem co prędzej z tego przeklętego raju. Szedłem bezmyślnie i nie zatrzymałem się aż u wrót cmentarnych. Widok białych grobowców wabił mię ku sobie. Usiadłem na obalonym krzyżu. Na złamanym znaku wiary siedziałem, ofiara miłości, tuląc rozpaloną głowę do śnieżnego marmuru wzniosłej kotwicy i pogrążyłem się w zadumie.

Musiałem tak siedzieć długo, bo gdy się ocknąłem, dokoła było już zupełnie ciemno. W dali widziałem światła latarni miejskich i gwar stłumiony dolatywał mych uszu. Powstałem machinalnie i zwolna zdążałem ku miastu. Nieraz potrąciłem spieszących przechodniów, których wesołe twarze zdawały się urągać mej boleści. Przechodząc koło jednej restauracyi, spotkałem grono wesołych kolegów, wracających z teatrów. Zatrzymali mię; żartami i szyderstwem rozbudzili z odrętwienia.

— Dokądże tak późno, skromny nasz filozofie?

— Czy nie na kolacyjkę?

— Cóż mówisz—odezwał się inny—on nigdy nie zajrzy do restauracyi, unika jej jak piekła.

— Musimy go przecież raz wziąć ze sobą, zapronował któryś.

— Dobrze, doskonale—i pochwycili mię za ręce, wiodąc do jasnych salonów restauracyi.

Zacząłem pić wino, ktorem mię częstowali, a za każdą szklanką rozpalał się jakiś wewnętrzny ogień i wzrastało pragnienie. Piłem więc więcej i więcej. Po kilku godzinach odwieźli koledzy poczciwi wśród żartów pijanego do domu.

. . . .

Jak odtąd żyłem sam nie wiem. Czułem straszny ból w głowie, zrywałem się po nocach i słyszałem coraz częściej przez otaczających mię, wymawiane słowo: *waryat!*

. . . .

Dziś zdaleka omijam miasta i gwar ich; gram po wsiach i karczmach, a ludzie litują się nad grajkiem i rzucą kilka groszy i chleba kawałek. Nieraz kilka tygodni tak przewałęsam spokojnie, zapominając o przeszłości; czasem jedna noc księżycowa rozbudzi dawne wspomnienia i szał powraca do serca i głowy. Dziś czułem ciężar serca bardziej niżeli kiedy, rozpacz chciała zwrócić go z siebie—tyś mi przeszkodził... ja ci nie złorzeczę, a w nagrodę dałem ci historyą moją.

Muzyk umilkł.

Nie śmiałem przerywać milczenia. Po chwili długiej podniósł się, wziął skrzypce, nasunął kapelusz, nie spojrzał nawet na mnie i postąpił naprzód. Towarzyszyłem mu. Milczał. Gdyśmy wyszli na gościniec zapytał:

— Którędy idziesz?

Wskazałem kierunek mej drogi.

— Bądź zdrów, już dążę w przeciwną stronę. Nie wiem czy kiedy spotkamy się w życiu. Gdy wspomnisz szaleńca muzyka, zmów wieczny odpoczynek... Żegnaj mi.

Uścisnąłem podaną dłoń i długo patrzałem za odchodzącym. Spieszył, a w kroku jego i ruchach znać było powrót szału. Musiałem dążyć w przeciwną stronę, bo było już późno. W drodze myślałem o nieszczęśliwym człowieku i złamanem jego życiu.

* * *

Wkrótce opuściłem te strony i zapomniałem o dziwnym muzyku. Raz późną nocą jadąc, zatrzymałem się dla wypoczynku koni przed karczmą. Szynkownia była oświetlona; kilku włościan siedziało przy stołach i obojętnie przypatrywało się scenie odbywającej się koło szynkwasu.

Obdarty jakiś mężczyzna szamotał się z żydem, jedną ręką przyciskał do swych łachmanów skrzypce, drugą odpychał natrętnego karczmarza.

— Łotrze jakiś, chcesz mi wydrzeć mój skarb cały, moją duszę, skrzypce biedne, za kilka kieliszków wódki... ani myśl o tem... bo prędzej cię żydzie ubiję, niżbym miał oddać to serce swoje. Przycisnął skrzypce mocniej, aż struny jękły. Głos miał ochrypły, urywany, oczy paliły się chorobliwie, a ręce drżały konwulsyjnie. Odepchnął krzyczącego żyda i potoczył się ku środkowi izby. Nie mógł utrzymać się na nogach z osłabienia, czy odurzenia: szukał podparcia.

Postąpiłem naprzód wpatrując się w rysy tego człowieka.

Poznałem go, był to ów muzyk nieszczęśliwy. Rzuciłem żydowi pieniądze i zbliżywszy się do muzyka zawołałem go po imieniu.

Wstrząsł się, wytrzeszczył oczy na mnie, odgarnął włos z czoła i zdawał się szukać w pamięci. Nie wiem czy sobie przypomniał; spuścił wzrok i postąpił chwiejnym krokiem ku drzwiom. Nie mogłem go wstrzymać. Zboczył z drogi i zniknął w ciemności.

Zajście to przykre na mnie bardzo wywarło wrażenie. Zadumałem się, a w karczmie słyszałem głosy: pijanica.

Dążyłem do stolicy.

Po kilkodniowym pobycie wyszedłem raz w chwili wolnej na przechadzkę. Ulice były dość puste, bo to dzień powszedni i pora obiadowa. Szedłem zwolna, dumając sam nie wiem o czem. Środkiem ulicy jechał ładny powóz otwarty; w nim ujrzałem obok mężczyzny kobietę. Zdawała się szczęśliwą, bo uśmiech igrał na jej twarzy. Spojrzała na ulicę skinęła na woźnicę, ażeby się zatrzymał. Wyjęła sakiewkę i rzuciła jałmużnę jakiemuś obdartemu, wynędzniałemu żebrakowi. Żebrak miał pod ramieniem skrzypce. Stał zadumany; jałmużna upadła mu pod nogi, ocknął się i spojrzał na hojną dawczynię. Nagle, jakby rażony szałem rzucił się ku powozowi, z ust jego wydobył się krzyk rozdzierający, rękę wyciągnął ku pięknej damie i upadł wśród ulicy. Piękna pani zmieszała się i kazała popędzić konie—miałżeby jej ten głos i ten żebrak ze skrzypcami być znajomym?

Przechodnie podnieśli żebraka, ktoś litościwy wziął dorożkę i zawiózł do szpitala.

Lekarze skonstatowali paraliż mózgowy. Chory zachował się spokojnie, tylko prosił by mu nie odbierano skrzypiec. Zostawiono mu je.

W samotnej izdebce siedział nieraz chory skulony na łóżku całemi godzinami. Ledwie powstał do posiłku i znowu zapadał w zadumę. Bywały dnie w których był niespokojny. Wówczas chodził szybko po izbie, ruszał rękami i mówił coś bez związku, zawsze o jakiejś kobiecie. Czasami przypominał sobie scenę na ulicy z powozem i ciskał ręką, jakby odpychając jałmużnę.

Minęło tak kilka miesięcy.

Śnieg białą szatą okrył ziemię, osypał białym kwieciem drzewa, a mróz haftował fantastyczne kwiatki na szkłach okien...

Chory muzyk leżał spokojnie i zdawał się spać.

Niebo skrzyło się gwiazdami, a księżyc wielką tarczą zeszedł w pełni. Toczył zwolna swe jasne oblicze po sklepieniu i zajrzał oknem do izdebki muzyka waryata.

Muzyk obudził się.

Światło księżyca oblało bladą twarz jego, na której malował się niepokój. Wzrok zapalał się coraz silniej. Powstał, wdział łachmany swoje, pochwycił skrzypce wiszące na ścianie i jednem pchnięciem ręki otworzył okno.

Krat w niem nie było.

Muzyk wysunął się cicho ze swego więzienia. Bosą nogą stąpał po skrzypiącym śniegu i z zachwytem patrzył w gwiaździsty firmament.

Pociągnął smyczkiem po strunach i zagrał pieśń ostatnią. Tony płynęły spokojnie, znać w nich było wylanie duszy, w której już walka przebrzmiała, zagasło zarzewie uczucia, zostały zgliszcza i popioły. Pieśń przerwał jakiś jęk—pękła jedna struna.

Muzyk grał dalej. Ale w pieśni jego brakło tej jednej struny, struny tonów miękkich, pieściwych...

Grał wciąż, bez ustanku, jakby chciał wygrać duszę całą, jakby czując, że to pieśń ostatnia.

Mróz był bardzo silny; pękła struna druga. Artysta bosy, w łachmanach grał dalej, choć mu tonów brakło. I trzecia struna z jękiem się zerwała, a ostatnia, samotna, bez dźwięku wydawała tony.

Monotonne jęki cichły i cichły, aż zginęły gdzieś zupełnie. Muzyk przykląkł, a w oczach paliła się gorączka. Skrzypce przytulił do piersi i z bólem patrzał na nie. Na ustach ciche zaszeptały słowa modlitwy—w oczach zajaśniała łza.

W dali migotały światła ożywionego wśród karnawału miasta, tu spokój panował i cisza. Na po-

blizkim kościele wybiła godzina dwunasta. W klasztorze odezwał się dzwonek modlitwą ku Panu.

Na białem łonie śniegu zasnął muzyk ze skrzypcami przy piersi—na wieki...

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

V.

Pani de Lorcy była to kobieta mająca około lat pięćdziesięciu, lecz dobrze zachowana i jeszcze piękna. Przed wielu laty została wdową, mimo że była najszczęśliwsza w małżeńskiem pożyciu, nie chciała wyjść powtórnie za mąż, ceniąc swobodę nad wszystkie inne dobra tego świata. Miała niepospolity rozum, znała się lepiej na cyfrach jak na koronkach, zarządzała sama swym ogromnym majątkiem, używając czasu na korzyść swoją i bliźnich. Z powołania powinna była zostać adwokatem, rady jakich udzielała, były zdrowe, rozsądne, logiczne, można było trzymać się ich ślepo; nie miała zwyczaju obwijać rzeczy w bawełnę, wyrażała myśl swą jasno, prosto, bez ogródek. Była dobroczynną i hojną, ale nie miała litości dla cudzych nieuzasadnionych marzeń. Jeden z niemieckich poetów rozdając nowo-roczne życzenia, życzył bogaczom trochę serca, ubogim chleba, kobietom najpiękniejszej sukni, mężczyznom odrobinę cierpliwości, głupcom rozumu a ludziom rozsądnym, trochę poezyi.

Pani de Lorcy miała serce, piękne suknie, i wiele rozsądku, ale brakowało jej właśnie poezyi, a poeci którym ona dawała rady, musieli mieć wiele cierpliwości, aby ją do końca wysłuchać. Ci którzy lekceważyli jej zdanie i chcieli być po swojemu szczęśliwi, tracili raz na zawsze jej względy; tłomaczyła im że to co oni za szczęście uważali, było tylko urojeniem, że przywiązują sobie kamień do szyi, wreszcie zapewniała, że sami to dobrze czują; a gdy było już za późno, kończyła słowami:—Nie moja w tem wina, przepowiedziałam wszystko naprzód, ale wówczas nie chcieliście mnie słuchać.

Pani de Lorcy kochała po macierzyńsku swego siostrzeńca Kamila Langis, była powiernicą jego miłosnych zwierzeń i obiecała mu że ożeni go z Antoniną Moriaz. Prawda iż był trochę za młody, ale opiekunka jego uznała, że wiek nic nie znaczył, w obec wszechstronnej harmonii jaka istniała między tą parą. Kamil wahał się z wyznaniem swej miłości, powtarzając ciągle:—Jeśli mi odmówi, nie będę mógł widywać jej, a póki na nią patrzę jestem tylko na wpół nieszczęśliwym.

Lecz pani de Lorcy włożywszy mu miecz w rękę, popchnęła do rozpoczęcia kampanii obiecując dopomagać wszelkiemi sposobami. Wyprawa ta nie poszczęściła się jednak. Pani de Lorcy dotknięta do głębi odmową Antoniny, chciała wypowiedzieć jej otwartą wojnę, gdy dla ułagodzenia gniewu oznajmiono jej, iż nie są to ostatnie słowa panny Moriaz, i że w przyszłości pozwalano panu Langis apelować od tego wyroku. Kamil udał się do Węgier i powrócił ztamtąd. W trakcie jego nieobecności Antonina odmówiła dwóm pretendentom do jej ręki; pani de Lorcy wzięła to za najlepszą wróżbę, to też została żywo podrażnioną listem od pana Moriaz, który brzmiał jak następuje:

„Donoszę kochanej pani iż zdrowie moje jest na najlepszej drodze, mam rumiane policzki, twarz świeżą, nogi zdrowe i silne jak wielbłąd, i niezrównany apetyt. Gdybyś pani, co nie daj Boże, uczuła się kiedyś niezdrową, jedź do Saint-Moritz, a nie długo powiesz mi coś o tem. Po trzydniowym pobycie wśród tutejszych gór, apetyt powraca, ja bo już nie jem, lecz pochłaniam, a do zwykłego obiadu potrzebuję zawsze dodatków. Jestem postrachem sąsiadów przy stole, patrzą się oni na mnie z prawdziwą trwogą, jakby sobie powtarzali w duchu: „Czy czasem my nie jesteśmy zagrożeni? Może mu te dodatki nie wystarczą!“ A więc kochana pani wszystko idzie jak najpomyślniej, jestem zadowolony lecz nie zupełnie niestety! Zapytasz pani dla czego; cóż ci na to odpowiem? Saint-Moritz jest miejscem gdzie się znajduje co się szuka, ale także i to, czego się nigdy nie szukało. Nie mówię tu o niedźwiedziach, tych nie widziałem wcale, a gdybym nawet spotkał jednego znalazłbym w sobie dość siły aby go udusić. Wreszcie niedźwiedzie są to zwierzęta milczące, które nie opowiadają swej historyi, a jedyne stworzenia jakie mnie straszą to właśnie takie, które opowiadają dzieje swego życia, a których zadusić niepodobna. Nie mówię nic więcej, ale pani mnie zrozumiesz; jesteś tak domyślną!

„Antonina poséła pani kilka szkiców zdjętych ołówkiem i akwarelami, które doręczone ci będą przez hr. Abla Laryńskiego. Jest on Polakiem, nietrzeba o tem wątpić, łatwo będzie się pani spostrzedz że tak jest w istocie. Wydobył on mnie z pułapki, w której mogłem śmiało życie zakończyć. Jeśli posiadam do dziś dnia dwie zdrowe nogi i ręce któremi do pani piszę, jemu to jedynie zawdzięczam. Polecam go względom pani i proszę abyś mu kazała opowiedzieć historyą całego życia. Należy on bowiem do opowiadających, nie często co prawda ale gdy pchnięty pewną ukrytą sprężyną, zacznie mówić, wtedy niepodobna go powstrzymać. W każdym razie przekonasz się pani że pan Laryński nie jest pospolitym człowiekiem. Spostrzegłem że nie posiada żadnego majątku. Ojciec jego był czemś w rodzaju waryata, który robił olbrzymie projekta a żadnego nie wykonał. On sam mógł był w Ameryce zdobyć pewne stanowisko, gdy opuścił wszystko aby powrócić do kraju. Ten egzaltowany młodzieniec, bawił się wynalazkami, które się nie powiodły, teraz szuka zajęcia i chleba. Nie myśl pani że będzie chciał jakiej bądź od ciebie pomocy, jest dumny, otacza się swem ubóstwem, jak kastylijczyk płaszczem. Los jego zajmuje mnie żywo, chciałbym go pchnąć wyżej, podać mu rękę, ale pragnąłbym też przekonać się czy wart jest mojej życzliwości. Przypatrz mu się pani, przepuść go przez alembik; w podobnych razach wierzę więcej twojem oczom, niż własnem swojem.

„Antosia przeséła chrzestnej matce swoje serdeczności. Uwielbia ona Saint-Moritz, widać że spotkała tu kogoś, czy coś co ją oczarowało. Co do mnie rad jestem że odzyskałem apetyt, sen, a jednak boleję nad naszem tu przybyciem: zaradź pani złemu! Donieś mi co rychlej jak znalazłaś naszego Polaka, ale na litość nie potępiaj go nie wysłuchawszy poprzednio. Tylko bez uprzedzenia, na wszystko proszę bez uprzedzenia, każdy doświadczony sędzia, wystrzegać się powinien podobnych małostek. Żegnam cię kochana pani, mimo mych pełnych policzków pożałuj mnie.“

Pani de Lorcy odpowiedziała zaraz odwrotną pocztą:

„Przenośnie w twoim liście kochany profesorze, są tak przezroczyste że zrozumiałam je odrazu. Czy być może aby Antonina była tak szaloną? niespodziewałam się tego po niej. Powiedz jéj to pan ode mnie, albo raczej nie mów, to co tu piszę jest tylko dla ciebie, nadto jestem zagniewana by się do niej odzywać. Obejrzy się waszego Polaka; czekam na niego trzymając się odpornie; ale naprawdę odgadłam go naprzód, znam go na pamięć, że to coś podejrzanego wątpić nie można. Będę na niego patrzéć bez uprzedzenia, wiesz że nie jestem stronną w sądach. Rozpuszczę swą tajną policyą, poruszę wszystkie sprężyny i wkrótce doniosę co myślę o waszym awanturniku. O tak żal mi cię biedny człowieku! bo w gruncie rzeczy tyś wszystkiemu winien, czemuż nie umiałeś wziąć się do rzeczy jak należało? Bogu was polecam.“

W chwili gdy Samuel Brohl, siedząc wśród zielonej łąki rozmawiał z wyzwanym duchem, pani de Lorcy pochylona nad krzyżową robotą, samotna w swym salonie, ścigała za własną myślą, kołującą jak konie zaprzężone w kieracie. Od kilku dni oczekiwała odwiedzin hr. Abla Laryńskiego, dziwiąc się opóźnieniu i przypuszczając że obawiał się jej badawczego spojrzenia, a przypuszczenie to cieszyło ją niepomiernie. Po razy kilka zdawało jej się że słyszy kroki w przedpokoju i zawsze drgnęła tak silnie, że różowe wstążki od jej czepka rozwiewały się na dwie strony.

Siedziała pochylona nad robotą rachując krzyżyki, gdy nagle ktoś ujął jej rękę i ucałował z uszanowaniem a uczyniwszy to rzucił się na krzesło.

— Ah! to ty Kamilu! zawołała pani de Lorcy, na sam czas przybywasz. No cóż?

— Widzisz pani we mnie najnieszczęśliwszego z ludzi; o! czemuż staw w twym ogrodzie wyschnięty? byłbym się rzucił w wodę, głową na dół.

Poni de Lorcy położywszy robotę złożyła ręce:

— Ztamtąd powracasz? rzekła.

— I po cóż ja byłem w tym kraju, gdzie mi podano czarę z trucizną!

— Bez przenośni. Widziałeś ją? Cóż jej powiedziałeś?

— Nic, nic z tego wszystkiego co leżało na sercu: dałem jej do poczucia że się rozmyśliłem, że czas uleczył mnie z owej szalonej miłości, że przybyłem odwiedzić ją jako przyjaciel tylko. Tak pani byłem przy niej przez pół dnia, a przecież nie zdradziłem się ani razu; przekonałem ją że ta maska, była mojem własnem obliczem. Powiedz pani czyś czytała w Plutarchu o czynie więcej bohaterskim, którego z wielkich ludzi?

— A ona cóż ci mówiła?

— Ona była tak zadowoloną ze zmiany jaka we mnie zaszła, iż widziałem że byłaby mnie chętnie uściskała za to.

— Zapłaci mi za to kiedyś. A jego widziałeś?

— Dostrzegłem go tylko w przelocie.

— Czy rzeczywiście jest tak zachwycający?

— W spojrzeniu ma coś niepojęcie głębokiego, bohaterskie dzieje jego żywota wyryły mu się na czole. Czemże ja jestem aby walczyć przeciwko niemu? Przyznaj pani że wyglądam jak student. A jednak gdybym chciał się chwalić... Ta szossa w Transylwanii, którą miałem w antrepryzie, o! nie łatwo przyszło ją budować. Praca ta zdawała się robotnikom zbyt ciężką, opuszczali mnie niektórzy; aby zachęcić innych zarówno z nimi kułem, wisząc w powietrzu. Pewnego dnia przy rozsadzaniu kamieni ostry odłam lecąc szalonym pędem przeciął sznur na którym zawieszony był jeden z robotników. Człowiek ten spada, zdawało mi się że jest już stracony. Cudem jakimś ubranie jego zaczepia się o rosnące tam krzaki. Jam zeszedł po niego; przysięgam pani że wtedy naraziłem własne życie

czyniąc nadludzkie wysiłki. Robotnicy moi nie wierzyli mi, lekceważyli moją młodość, lecz od dnia tego całkiem innem patrzyli na mnie okiem.

— Czyś mówił o tem Antoninie?

— A na co? Kobietom nie wystarcza gdy się jest bohaterem, trzeba jeszcze mieć postać stosowną do okoliczności. I Kamil Langis zawołał zaciskając piersi:—Ach pani zaklinam cię, powiedz mi, gdzie dostać można: głowę Polaka, wąsy polskie, polski uśmiech? Nie będę się targował... Oh kobiety! przeklęte kobiety!

— Czy i ciotki także? zapytała pani de Lorcy.

— O nie, pani jesteś kobietą jakich nie ma na świecie, rzekł spokojniej Kamil, ty jesteś moją jedyną ucieczką, pociechą, nie odmawiaj mi twej pomocy, twej rady. Cóż mam dalej czynić? Pani de Lorcy patrzała przez chwilę na sufit wreszcie rzekła: Pokochaj inną, zostawiając tę waryatkę jej przeznaczeniu i jej Polakowi.

— Żądasz pani rzeczy niemożliwych. Nie jestem już panem siebie, ona mną zawładnęła, stałem się jej wyłączną własnością. Pokochać inną? Myślisz pani że to tak łatwo? Złorzeczę jej, przeklinam ją, ale ją kocham.

— Powinieneś się wystrzegać podobnych ostateczności, odparła. Kiedy się nie chce kochać, miłość istnieć przestaje.

— Na to trzeba by mieć serca do zmiany, a ja mam tylko jedno i to już do mnie nie należy. Czy mi pani na dal nie będziesz udzielać swej rady?

— Nie mogę ci radzić nim zobaczę pana Laryńskiego, nim poznam i ocenię tego bohatera.

— Co! pani zamyślasz go poznać?

— Czekam na niego i dziwię się że każe mi tak długo czekać.

— Na seryo, pani myślisz przyjmować u siebie tego człowieka?

— Proszono mnie o zbadanie stanowiska.

— Jestem zgubiony, kiedy pani chcesz go wysłuchać przed wydaniem potępiającego wyroku; obowiązkiem naszym jest być zawsze niesprawiedliwymi, gdy chodzi o nieprzyjaciół naszych przyjaciół.

— Bądź spokojny, nie będę pobłażliwą.

— Czyń pani co ci się podoba, ja wiem co zrobię.

— Cóż takiego?

— Pokłócę się z tym łotrem, i palnę mu w łeb bez miłosierdzia.

— Piękne zamiary kochany Kamilu. Zabiwszy go posuniesz o wiele własny interes. Czy mi ufasz? Poczyniłam już starania mogące przynieść pewne korzyści dla ciebie. Ksiądz Miolens, jak wiesz, ma wielu znajomych pomiędzy tutejszemi emigrantami, prosiłem go aby zasięgnął wiadomości o panu Laryńskim. Napisałam też do Wiednia w tym samym celu. Antosia jest szaloną dziewczyną, ale nie lekceważy sobie honoru, i jeśli na przeszłości pana Laryńskiego znajdzie się najmniejsza plamka, odwróci się od niego natychmiast. Bądź rozsądny pozwól mi działać i nie zabijaj nikogo. Smutno by to było gdybyśmy nie mieli innych sposobów pozbycia się ludzi, którzy nam przeszkadzają.

Gdy domawiała słów tych, służący wniósł na srebrnej tacy kartę wizytową.—O wilku mowa!... zawołała pani de Lorcy, a zwróciwszy się do pana Langis prosiła aby się oddalił, ale Kamil nie chciał odejść obiecując iż zachowa się bardzo grzecznie i przykładnie. Nalegała aby odszedł gdy we drzwiach ukazał się hr. Abel Laryński.

Wszedłszy do salonu pani de Lorcy, Samuel Brohl poznał natychmiast w jakim celu pan Moriaz przysłał go tutaj. Choć pokój ten miał okna wystawione na południe i choć sierpniowe słońce do grzewało, dreszcz przebiegł członki jego. Nie potrzebował przypatrywać się bacznie pani de Lorcy, aby poznać że stoi przed surowym sędzią, a spojrzawszy na Kamila Langis, domyślił się, iż ma w nim nieprzyjaciela. Samuel Brohl miał dar spostrzegawczy.

Oddawszy pani de Lorcy pudełko zawierające szkice robione ręką panny Moriaz, wyraził żal iż rozliczne zajęcia nie pozwoliły mu uiścić się wcześniej z polecenia Antoniny. Podziękowanie było trochę sztywne, również jak i zapytanie uczynione przez panią de Lorcy, tyczące się jej chrzestnej córki. Abel odpowiedział krótko i obojętnie.

— Smutny to kraj, ta dolina Saint-Moritz, rzekła pani de Lorcy.

— Tak pani, ale smutek ten ma wiele uroku dla tych, którzy pokochali te strony, odparł Abel.

— Zdaje mi się jednak, że panna Moriaz nudzi się tam okropnie?

— Myśli pani iż ona jest zdolną się nudzić, gdziekolwiek bądź się znajduje.

— Zapewne że nie, ale zabawia się nadto własną wyobraźnią. Ma szczególny dar stwarzania sobie rozrywek i przyjemności. Wyobraźnia jej jest tak ruchliwa tak przeskakująca z przedmiotu na przedmiot.

— Jest to dar nieoceniony, odrzekł chłodno hrabia. Jednak pani za surowo sądzi okolice Saint-Moritz. Drzewa tamtejsze nie są tak piękne i rozłożyste jak te które zacieniają park tutejszy, ale sosny i urwiska mają też swój urok.

— Czyś pan udał się tam dla zdrowia?

— Tak i nie, pani. Nie jestem chory, ale doktór mój zaręczył, iż będę jeszcze zdrowszy, gdy przez trzy tygodnie sprobuję oddychać alpejskiem powietrzem.

— Pan Laryński zwiedzał pewno najwyższe szczyty gór tamtejszych, rzekł Kamil, który siedząc na przeciwko nie zdejmował z Samuela swych badawczych oczów. Jest to bohaterski czyn, dozwolony jedynie ludziom zupełnie zdrowym.

— Nie jest to czyn bohaterski, odparł Brohl, jest to rzecz wymagająca cierpliwości, wcale nietrudna dla tych, krórzy nie podlegają zawrotom głowy.

— Jesteś pan zbytecznie skromny, mówił dalej Kamil, gdybym ja był zwiedzał owe szczyty, nie omieszkałbym wszystkim o tem mówić.

— Czyś pan probował kiedy wdzierać się na nie? zapytał Samuel.

— Bynajmniej, nie szukam niebezpieczeństwa na to jedynie, by mieć potem co opowiadać, odparł Kamil wyzywającym tonem.

Pani de Lorcy chcąc przerwać tok rozmowy, zagadnęła:—Czy pan po raz pierwszy jesteś w Paryżu.

— Tak pani, odparł Samuel, cofając się jak ślimak w swoją skorupę.

— Czy Paryż podoba ci się zarówno panie hrabio jak dzikie urwiska?

— Daleko więcej pani.

— Masz pan tu znajomych?

— Nie mam żadnych i co prawda nie pragnę ich wcale.

— A to dla czego?

— Czy mam się pani przyznać? Nie lubię przełamywać lodów, a Polacy żalą się zawsze, na niezrównany chłód paryzkich mieszkańców.

— To się łatwo tłomaczy! zawołał Kamil. Paryż, prawdziwy Paryż, jest niewielkiem miastem, liczącem zaledwie 100,000 dusz; miasteczko to jest zawsze napadane przez przybyszów, szukających tu zabawy, lub majątku. Nic dziwnego więc że Paryż broni się im jak może.

— Paryżanie mają się za ludzi przenikliwych, odparł Samuel, łatwo więc mogą odróżnić awanturników od ludzi uczciwych.

— O wybacz pan, wtrącił Langis, to rzecz nie łatwa, najdoświadczeńsi mylą się niekiedy.

Samuel Brohl powstał chcąc pożegnać panią domu, lecz ona spostrzegłszy się że jest na złej drodze i tym sposobem nie pozna nigdy tego, którego osądzić miała, zmusiła go do zatrzymania się jeszcze. Lękając się by Kamil mimo danego jej słowa nie przeszkadzał swą porywczością, odesłała go, pod pozorem obejrzenia nowo-nabytych przez nią koni.

Zaledwie zostali sami, pani de Lorcy zmieniła całkiem obejście, stała się uprzejmą, serdeczną nawet, jakby chciała zatrzeć pierwsze niezbyt miłe wrażenie, jakiego doznać musiał gość jej; po chwili hr. Abel uległ wpływowi tej zmiany. Nieznacznie zadała mu kilka pytań, na które on chętnie odpowiedział. Przybycie obcych osób przerwało rozmowę, odchodząc Abel uległ prośbom pani Lorcy i obiecał przybyć nazajutrz.

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

Do najważniejszych wypadków zaszłych w Paryżu w roku bieżącym, należy zaliczyć niezaprzeczenie świetne przyjęcie jakiego doznał podróżnik szwedzki Nordenskjöld. Od czasu słynnej powieści Jules Verna przedstawiającej z wielkim talentem szlachetne współubieganie się Amerykanina z Anglikiem, który z nich pierwszy dotknie stopą swą bieguna północnego, zapanowała prawdziwa gorączka w tym kierunku. Francuzi, Austryacy, Szwedzi, że nie wspomnę innych, pragnęli gorąco dzieło wielkiego odkrycia połączyć ze sławą narodową. Z wypraw tych francuzka spełzła na niczem, z powodu śmierci projektodawcy; austryacka wróciła skromnie nie dokonawszy nic wielkiego, jedna szwedzka, zwyciężywszy wiele trudności, po przebyciu dziewięciu długich miesięcy wśród lodów, znalazła przejście drogą morską z Oceanu Lodowatego na Ocean Spokojny. Okrążywszy kulę ziemską Nordenskjöld znalazł się na Atlantyku przy brzegach Francyi z czego korzystając, postanowił przedewszystkiem odwiedzić Paryż. Krok ten ze strony uczonego i znakomitego podróżnika, uważanym był słusznie jako hołd oddany całemu narodowi. Francuzi jak w ogóle wszystkie ludy ucywilizowane, czuli są wielce na podobne objawy uznania; nietylko też towarzystwa uczone i władze, ale ludność całej stolicy postanowiła uczcić gościa, taki im wielki zaszczyt wyrządzającego.

Wyrazom ogólnego przekonania stała się uchwała Rady miejskiej w Paryżu, występującej po raz pierwszy urzędownie celem przyjęcia znakomitego Szweda. Przygotowania zrobiono z odpowiednim przepychem i należytą uroczystością.

Wspaniałe wejście, główne schody, korytarze przejściowe, które rozmiarami swemi przypominają pałac Krasińskich w Warszawie, przystrojono w bogate gobeliny, kwiaty i lustra; gwardya republikańska czyniła honory, utrzymywała porządek, wszystkie miejsca zajęte były co do jednego, a prócz tego kilkanaście tysięcy ludzi oczekiwało na ulicy na zapowiedziane przybycie. Nie będziemy wymieniać dygnitarzy zebranych, zwróciliśmy tylko uwagę na zupełny brak haftów; świat wojskowy nie miał wcale swoich przedstawicieli a dla innych znakomitości czarny frak i biały krawat przepisane były obowiązkowo.

O godzinie w pół do piątej dały się słyszeć na ulicy głosy:

— Niech żyje Nordenskjöld, niech żyje następca tronu szwedzkiego!

Rzeczywiście znajdujący się jednocześnie książę Oskar w Paryżu, postanowił towarzyszyć wszędzie swemu znakomitemu rodakowi.

Wice-prezes Rady wprowadził gości do sali przyjęcia, gdzie przygotowane były dla nich fotele prawdziwe arcydzieła sztuki i bogactwa! Zebrana publiczność w liczbie pięćset osób powstała jednomyślnie z zajmowanych krzeseł, witając przybyłych rzęsistemi i długiemi oklaskami. Po uciszeniu się ich prezes Rady pan Cernesson rozpoczął czytać przemowę ułożoną ze zręcznością właściwą narodowi francuzkiemu. Postawił na pierwszym względzie okoliczność, którą może niejeden uważałby za podrzędną. Pochwalił przedewszystkiem uczonego podróżnika za umiejętność wybrania się w drogę, do której przysposabiał się długo, badał pracowicie koleje poprzednich wypraw, przewidywał wszelkie możliwe wypadki niepomyślne, konieczne środki zaradcze i zrobiwszy wszystko co tylko człowiek mógł zrobić, resztę dopiero zdał na Opatrzność. Rozumne przygotowania zapewniły powodzenie kiedy wiele innych wypraw przedsięwziętych w odmiennych warunkach zniewolone były zawrócić z połowy drogi. Dalej szanowny mówca uwydatnił inną zasługę znakomitego podróżnika; nie mogąc posuwać się dalej z powodu ściskających okręt gór lodowych, zostając na jednem i tem samem miejscu przez dziewięć miesięcy, nie stracił tego czasu dla nauki. Poczynił nader ciekawe spostrzeżenia dotyczące etnografii morza lodowatego, notował starannie wszelkie objawy meteorologiczne, zebrał ciekawe okazy zwierząt i roślin miejscowych, a poznawszy język mieszkańców nadbrzeżnych, poczynił nad nim spostrzeżenia lingwistyczne. Objaśnienia dane przez krajowców, dozwoliły obliczyć prawie na pewno, odległość okrętu Vega od morza wolnego od lodów.

W zakończeniu swej przemowy prezes Rady zrobił zwrot do obecnego księcia Oskara, dziękując mu za przyjęcie udziału w uroczystości; oddał zasłużoną pochwałę panującemu monarsze szwedzkiemu, za hojny dar ofiarowany na wyprawę, a nareszcie wspomniał o odwiecznem przymierzu Francyi i Szwecyi, i licznych dowodach wzajemnej przyjaźni dwóch narodów zmierzających do jednego celu.

Wszystkie te ustępy wywołując zapał publiczności wynagradzano ogólnemi oklaskami. Zapomniano widocznie o roku 1812 i 1813 w których postawa rządu i ludu szwedzkiego, nie odznaczała się wielką przyjaźnią dla narodu francuzkiego.

Następnie Cernesson podniósłszy się z krzesła prezydyalnego, w towarzystwie prefekta policyi i prefekta Sekwany, wręczył Nordenskiöldowi medal złoty wybity na jego cześć, i wspaniale oprawny egzemplarz uchwały Rady miejskiej dotyczącej tego przedmiotu. Na jednej stronie medalu znajdują się symbole sztuki i przemysłu w postaci dwóch kobiet przybranych w stroje starożytne. Sztuka trzyma w prawej ręce gałęź laurową, a w lewej paletę, pendzle i młotek rzeźbiarski. Przemysł wspiera się na kowadle i młocie podtrzymując prawą ręką wspaniałą gałęź dębową. Na odwrotnej stronie znajdujemy napis:

Profesorowi Nordenskjöld
Miasto Paryż
rok 1880.

Następnie powstał znakomity podróżnik szwedzki, celem podziękowania za tyle zaszczytne przyjęcie. Przemowa jego wprowadziła w prawdziwy zachwyt zebraną publiczność. Nie wahał się powiedzieć, że gdyby Lambert przyspasabiający wyprawę na ocean lodowaty, nie był zginął w r. 1870 podczas wojny z Prusakami, w takim razie nie szwedzka ale francuzka wyprawa byłaby uwieńczona powodzeniem. Szanowny profesor umiał trafiać w słabostkę Francuzów, nic więc dziwnego że czas jakiś był w Paryżu najbardziej popularną osobistością.

Jednocześnie prawie z pobytem Nordenskjölda w Paryżu, zaszedł wypadek nader niezwykły w dziejach teatru francuzkiego. Zazwyczaj wszystkie dyrekcye widowisk dramatycznych mają szczególną słabość do skracania sztuk przedstawionych. Bez najmniejszego kłopotu przekreślają scenę a nawet akt cały, nie troszcząc się wcale że skutkiem mniemanych poprawek, utwór przybierze postać nader suchotniczą.

Wiktor Hugo w początkowym swym zawodzie dotknięty podobnem barbarzyństwem, pokazał dyrektorowi teatru francuzkiego piękną bardzo jabłonkę, znajdującą się w jego ogrodzie. Dyrektor podziwiał bogactwo gałęzi i artystyczne ich zarysy.

— Jutro to drzewo będzie jeszcze piękniejszem, rzekł Hugo ze złośliwym uśmiechem.

Nazajutrz dyrektor z największem zadziwieniem spostrzegł że co najmniej trzecią część gałęzi obcięto i odrzucono jako nieużyteczne. Drzewo wprawdzie było drzewem, jabłonka jabłonką, ale przybrało formy skarłowaciałe w obec dawnego blasku.

— Nie przyozdobiłeś ale zeszpeciłeś tyle piękną dawniej jabłonkę, rzekł dyrektor z oburzeniem.

— Naśladowałem tylko przykład przez ciebie dany, odpowiedział skromnie Hugo.

Docinek był zrozumiany i od tego czasu nie ośmielono się skracać utworów wielkiego pisarza. Nie wszyscy jednak autorzy posiadają przywilej tego rodzaju, inni choć z bólem serca zniewoleni są oddawać swe prace pod amputacye wykonywane bez najmniejszego względu i litości. W tym stanie rzeczy wiadomość nadzwyczajna rozeszła się po całym Paryżu: nowa komedya napisana pod tytułem Hrabina Berta przez Edwarda Cadol, po pierwszem przedstawieniu uznaną została za zbyt krótką i zawezwano autora o dorobienie całego jednego aktu. Wypadek rzeczywisty, nadzwyczajnością swą, stał się wyborną reklamą; wszystkie miejsca zostały zapełnione.

Autor wywiązał się dosyć szczęśliwie z trudnego zadania, i potrafił utrzymać uwagę widzów aż do końca.

Po wyjściu jednak z teatru, uczuli niezadowolenie i niejeden postanowił nie iść na widowisko, skoro dorobionym będzie nowy akt do sztuki już raz przedstawionej.

Hrabina wdowa po mężu hulace, który nie zostawił swej małżonce innego spadku prócz tytułu, wychodzi powtórnie za mąż, za bardzo zacnego i bogatego przemysłowca nazwiskiem Penardier. Zamiast otoczyć drugiego małżonka najwyższym szacunkiem, jakby to czyniła każda rozumna kobieta, pani Penardier ubolewa ciągle nad tyle niestosownym dla siebie związkiem.

Typ charakteru a raczej karykatura choć prawdopodobna ale w każdym razie wstrętna nadzwyczajnie. Syn pani Penardier z pierwszego małżeństwa hr. Robert de Laiz, ożenił się z córką doktora na prowincyi, co jednak nie przeszkadza mu do zawiązania w trzy lata po ślubie romansu z Teresą d'Esterel, żoną jego kuzyna Raula. Dla powiadomienia publiczności o tych związkach, autor użył pośrednictwa fortepianu. Robert przybliża się do młodej kobiety, odgrywającej niedbale jakiś utwór muzyczny i obejmuje ją wpół.

— Ah! panie co za nieprzyzwoitość, mówi Teresa, sądząc że to jej małżonek dopuścił się tej poufałości. Spostrzegłszy jednak pomyłkę zmienia prędko dźwięk mowy, mówiąc:

— Ah! to ty Robercie!

Autor tak jest zadowolony ze swego pomysłu, że postanawia użyć tego samego środka, celem zawiązania właściwej intrygi w sztuce. Hrabia Robert siedzi więc przy fortepianie a małżonka jego Berta kładzie mu rękę na ramieniu.

— Ah! to ty Tereso, mówi młody mąż biorąc ją za żonę Raula.

Zdrada małżeńska zostaje stwierdzoną w sposób niewątpliwy. Berta postanawia się zemścić, do czego wkrótce ma nastręczoną wielką sposobność. Zjawia się niespodzianie Filip de Solanges zostający w ustawicznych podróżach. Następuje rozmowa poufna w której Filip objaśnia przyczynę ciągłej włóczęgi: zakochany jest w mężatce a tą mężatką jest właśnie Berta. Pod wpływem doznanej obrazy serce kobiety ulega łatwo wzruszeniu miłosnemu, kochankowie pojadą w świat "gdzie ich oczy poniosą ale złączeni jedynie węzłem przyjaźni.

Zamierzona ucieczka nie przychodzi do skutku z przyczyny nader błahej. Zjawia się młody student w podartem ubraniu i zbity przez swoich kolegów za to, że nie chciał należeć do jakiejś awantury szkolnej, wymierzonej przeciwko jednemu z dozorców. Dowód niezaprzeczonej siły woli robi silne wrażenie na Bercie. Dziecko nie ulękło się prześladowania i dopełniło swego obowiązku, a ona miałaby okazać się słabszą? Cofa przyrzeczenie dane Filipowi i nie myśli więcej o podróży.

Poprzednio Teresa wyznaje przed mężem błąd przez siebie popełniony i uzyskuje przebaczenie. Tem bardziej przeto Berta mogła zapomnieć o niewłaściwem postępowaniu męża.

Zakończenie jednak tego rodzaju wydało się Dyrekcyi teatralnej za mało dramatycznem. Dołożono zatem cały akt czwarty gdzie Raoul wyzywa na pojedynek hr. Roberta, ten jednak opuszczony przez kochankę, pogardzony przez żonę odbiera sobie życie. Ze śmiercią męża nic nie staje na przeszkodzie do legalnego połączenia dwojga kochanków.

Krytyka paryzka okazała się nader niełaskawą, szczególniej dla bohaterki sztuki, porównano ją do chorągiewki na dachu.

(d. c. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— „Mołwa“ w N-rze 147 podaje następujący artykuł — Łacina i język grecki jakoteż wiele przedmiotów w taki sposób wykładane są w szkołach, że uczniowie uczą się ich jedynie za pomocą pamięci, bez współudziału rozumu. Nauczyciel zada „ztąd dotąd“ i uczniowie zmuszeni są nauczyć się dosłownie, a gdy który zostaje wyrwany, musi powtórzyć całą lekcyę z fotograficzną wiernością, bo zadający nie spuszcza oka z książki aby czasem nie zmienił jakiego wyrazu. Uczeń recytuje machinalnie, najczęściej nic nie rozumiejąc — a biada najzdolniejszemu jeżli nie jest obdarzony doskonałą pamięcią. Jakże to rzadkim jest wyjątkiem nauczyciel starający się tchnąć ducha swego do uznanego z góry za dobry podręcznika, ożywić go wykładem własnym i uczynić pożyteczniejszym.

Gdy chodzi o tłomaczenie z greckiego i z łacińskiego, nauczyciel tego tylko przestrzega żeby uczniowie nie opuszczali wyrazów, poprawia błędy gramatykalne, ale ani się zatroszczy o logikę, o związek myśli i zrozumienie ducha autora... Niech tylko chciwy wiedzy uczeń zada jakieś zapytanie nie odnoszące się wprost do grammatyki lub retoryki, odpowiedzą mu zaraz że to pytanie zbyt drażliwe aby je można rozbierać, a zastraszony uczeń nie śmie już się odezwać, z obawy czy mu nie zagraża jedynka „za złe sprawowanie.“

— W pewnym ustronnym zakątku naszego kraju, w pobliżu Bendzina, zamieszkuje zacny kapłan zajmujący się gorliwie dobrem powierzonej mu parafii. Pomimo nader ograniczonych środków parafialnych, krzewi oświatę między ludem zaszczepiając w swej owczarni zamiłowanie sztuk pięknych i piśmiennictwa. Dzięki jego staraniom zdaje się że mieć będziemy jednego jeszcze zdolnego rzeźbiarza; a nadto dwóch chłopców wiejskich zapowiada wielkie zdolności malarskie. Pierwszego przyrzekł wziąć do siebie na naukę jeden z zacnych i utalentowanych naszych artystów; drugi, chłopczyna obdarzony pięknemi przymiotami moralnemi, jest bardzo delikatnego zdrowia, potrzebowałby znaleźć schronienie i opiekę w jakiemś zacnem domowem ognisku—nie wątpimy że podobna pomoc i opieka się znajdzie.

Zacny kapłan nie ogranicza swej opieki i poparcia do samych tylko młodych chłopców wyjątkowym obdarzonych talentem, stara się także o rozwinięcie władz umysłowych starszych parafian. Jeden ze starszych włościan zachęcony poparciem jego i radami, bez nauki i potrzebnych specyalnych wiadomości, zrobił organ pokojowy, a obecnie buduje duży organ kościelny. Nikt mu nie dopomaga w pracy, każdą trudność musi sam pojąć, zrozumieć i pokonać. Czcigodny kapłan czytywał mu poezye i zapoznał tym sposobem z budową i urokiem rytmicznego słowa; obecnie włościanin ten sam układa wiersze, pełne prostoty i rzewnego uczucia, przepełnione serdeczną wdzięcznością dla zacnego nauczyciela, dzięki któremu wielu nieokrzesanych wieśniaków może wyjść na pożytecznych a może i znakomitych ludzi. Jeden z takich wierszyków nadesłano Redakcyi „Echa.“

— Wiadomo powszechnie jak weszła w użycie między dziewczątkami zabawa skakania przez sznurek, otóż „Przyroda i Przemysł“ idąc za radą doktora Peck, dyrektora instytutu chirurgicznego w Indjanopolis, w Stanach Zjednoczonych, zaleca aby stanowczo zaniechać tej gimnastyki, gdyż nadużycie jej nader smutne sprowadza następstwa. Doktór Peck twierdzi że skakanie przez sznurek staje się główną i pierwszą przyczyną chromania dziewcząt. Przytacza świeże zdarzenie iż, pewnej małej dziewczynce trzeba było wypiłować kości obu nóg, z powodu ich próchnienia, wywołanego przeskakiwaniem przez sznurek, dodając że wypadki podobne bywają dość częste, chociaż zwykle zgubny wpływ tej niewinnej niby gimnastyki, objawia się przeważnie próchnieniem kręgosłupa. Nie ma miesiąca, mówi dalej dr. Peck, w którymby nie zgłaszano się do instytutu o poradę na cierpienia kości, z tej powstałe przyczyny. I dlatego przezorny doktór radzi stanowczo rodzicom i wychowującym dzieci, aby bezwarunkowo nie pozwalali im oddawać się tak zgubnej zabawie. Uczonym wywodom trudno się sprzeciwiać, ale zdaje się nam że w tem wszystkiem jest jakaś przesada. Ruchliwość jest tak wrodzona młodości, że pewną tamę można jej położyć ale usunąć zupełnie niepodobna. Skakanie przez sznurek należy do tych objawów ruchliwości, które niczem się nie różni od zwyczajnego biegania tylko je czyni regularniejszem, więcej systematycznem. Czyżby więc bieganie tak nawet konieczne w młodym wieku, mogło sprowadzać tyle zgubne następstwa? Nie podobna coś podobnego przypuszczać. Nie skakanie zatem przez sznurek sprowadza w dzieciach próchnienie w nich kości, ale słabość całego organizmu objawiająca się w tak straszny sposób. Wywód to wprawdzie nie ściśle naukowy, ale zdaje się nam że nie pozbawiony pewnej loiczności.

— „Gazeta Warszawska“ podaje że Ksawery Zeltner, pułkownik b. wojsk polskich zamieszkały obecnie w Ameryce, skutkiem bankructwa wierzycieli postradał cały swój dość znaczny majątek, i obecnie ten blizko 80 letni starzec skazany jest na największą nędzę. Wiadomo że Kościuszko ostatnie lata życia swego spędził w domu Zeltnerów w Szwajcaryi; wyż wspomniony Ksawery Zeltner jest ich synem, był ulubieńcem Kościuszki, który pozostawił mu po sobie niektóre pamiątki. Obecnie, ratując się od głodowej śmierci, nieszczęśliwy starzec zniewolony jest rozstać się z tak drogiemi sobie pamiątkami, które czci i przechowywał dotąd jak relikwie. Posiada on: 1— Własnoręczny list Kościuszki, pisany w Solurze w roku 1816; 2— promień włosów Kościuszki, odcięty zaraz po jego skonie; 3— Brzytwę w czarnej oprawie; 4— Lusterko składane którego używał w podróży; 5— Dobrze zachowaną koszulę webową, znaczoną literami „T. K.“ którą nosił przed śmiercią; 6— Bardzo ładną tabakierkę z kości słoniowej, wyłożoną wewnątrz szyldkretem.“ Dla pragnących nabyć szacowne te pamiątki i zarazem ulżyć ciężkiej a niezasłużonej doli ich posiadacza, podajemy adres tegoż: „Colonel Xavier Zeltner, № 33 Washington Terrace, Hoboken New Jersey.“

— Dzienniki angielskie donoszą o nader ważnem odkryciu, które jeźli się sprawdzi w praktyce, stanie się prawdziwem dla ludzkości błogosławieństwem. Pan John Clay, doktór szpitala rządowego w Birmingham, podaje sprawozdanie z długiego szeregu doświadczeń swoich w czasopiśmie lekarskiem „Lancet“ z marca r. b Nr. 27 iż udało mu się nareszcie odkryć i przekonać że „rak“ uważany dotąd za chorobę nieuleczalną, da się nietylko powstrzymać w swoim rozwoju, ale nawet zupełnie wyleczyć, za pomocą terpentyny cypryjskiej lub terpentyny z wyspy Chios.—Jeźli lekarstwo wynalezione przez doktora Clay okaże się rzeczywiście tak skutecznem w praktyce, stałby się on jedym z największych dobroczyńców ludzkości, uwalniając ją od tak strasznej plagi.

— We Francyi powzięto zamiar wzniesienia przepysznego pałacu kryształowego w St. Cloud, na szczycie pagórka na którym roztacza się dawny park pałacu zniszczonego zupełnie podczas wojny z Prussami. W pałacu tym ma się mieścić: wystawa nieustająca, częściowe wystawy czasowe, oraz muzeum przemysłowe międzynarodowe otwarte dla płodów przemysłu wszystkich krajów. W miejscu gdzie stał zniszczony przez Prussaków pałac, wzniesione zostanie muzeum przeszłości z rozmaitych epok. Dokoła rozrzucone będą ogromne cieplarnie, na wzór istniejącej w ogrodach Kew Londynie; kolosalne „aquarium“ labirynt; jezioro, okazy flory i fauny przedhistorycznej napotykane w wykopaliskach kotliny Sekwany; diorama, rzymskie łazienki, sale koncertowe i odczytowe; zbiory antropologiczne i sztuk pięknych z peryodycznemi wykładami publicznemi. Stanie tam także pawilon dziennikarski, strzelnica do celu i do gołębi, biuro pocztowe i telegraficzne, oraz restauracye i kawiarnie. Wszystko to ma być urządzone kosztem i staraniem prywatnych przedsiębierców, którzy przedstawili już odpowiednie plany do zatwierdzenia władzy.

— Tunel Św. Gotarda który świat powitał niedawno jako niespożyty pomnik wiedzy i potęgi działalności ludzkiej, według doniesień zagranicznych dzienników, grozi zawaleniem, pomimo wszelkich środków przedsiębranych dla umocnienia tej podziemnej drogi. Obawiają się że granitowe sklepienie nie zdoła długo wytrzymać nacisku, gdyż obecnie już wiele płyt się rozstępuje, co świadczy o sile nacisku. Obecnie inżynierowie pracują nad obmyśleniem środka mogącego zapobiedz katastrofie. W ogóle zgadzają się na to iż w zagrożonej części trzeba będzie koniecznie zmienić kierunek drogi, co naturalnie bardzo odwlecze otwarcie drogi!

— Hiszpania pozazdrościła Portugalii obchodów Vasco de Gamy i Camoensa i zamierza obchodzić w tym roku uroczyście kilkowiekową rocznicę Krzysztofa Kolumba. Do zupełnych 400 lat brakuje jeszcze lat dwanaście, gdyż wielki podróżnik odpłynął do nieznanych światów dnia 3 sierpnia 1492 r. zatem obchód zostaje przyśpieszony. Ale, mówi p. Germond Lavigne, w pojęciach tegoczesnych tak nagłe zachodzą zmiany, iż nikt ręczyć nie może czy za lat dwanaście pomyślanoby o podobnym obchodzie. Obchód ma się odbyć w la Robida, w Andaluzyi. Tam pewnego dnia Krzysztof Kolumb wycieńczony i umierający z głodu, przybył błagając o schronienie które znalazł w klasztorze XX. Franciszkanów, Przeor Juan Pedro de Marchana zrozumiał wielką doniosłość przedsięwzięcia swego gościa, popierał je i propagował przez lat 6, i nareszcie zdołał przekonać królowę Izabellę, która wyznaczyła odpowiedni fundusz i trzy statki do wyprawy w przewidywane przez Kolumba światy. Wiadomo że następstwem tej wyprawy było odkrycie Ameryki.

— Sława drzeworytniczej sztuki tak chlubnie zyskana na ostatniej wystawie paryzkiej, nową pracą potwierdzoną została z jaką nie tak często spotkać się można. Jest nią wielki drzeworyt wyrysowany według własnego obrazu przez Matejkę a przedstawiający Władysława Warneńczyka w wirze i tumulcie nieszczęśliwej bitwy pod Warną. Wykonanie całej ryciny jak i odbicie nie pozostawiają nic do życzenia: stanowi ona piękne premium ofiarowane przez Tygodnik powszechny dla swych czytelników.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 9 Іюля 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Nie zdając sobie sprawy z jakiego powodu rozmowa z kapitanem sprawia mu tyle przyjemności, zapisał gęsto dwie ćwiartki, i nie mógł potem wstrzymać się od uśmiechu, gdy je wkładał w elegancką herbowną kopertę.

— O czem ja też pisałem, do tego poczciwego kapitana, pomyślał, że to zajęło aż osiem stronnic?.. Co prawda nie można było pominąć nikogo... A! doprawdy! nie pozdrowiłem Toulousse'a i jego żony.

Wyjął list z koperty i dodał *post-scriptum* tak długie że zajęło jedną jeszcze ćwiartkę, a pieczętując list pomyślał z prawdziwem zadowolnieniem:

— Za pierwszą bytnością kapitana w Accroches, będą mieli co czytać przez cały wieczór.

Nie mylił się, czytanie listu zajęło cały wieczór, ale też na ogólne żądanie kapitan musiał odczytać go dwa razy.

Rovelou odpisał natychmiast dziękując mu za przyjemność jaką sprawił swym listem.

„Kochany panie Robercie, zrobiłeś mi zaszczyt pisząc do mnie, ale nie wyobrażasz nawet sobie z jaką radością powitano twój list w mojej chacie. Szkoda że nie widziałeś jak mnie otoczono kiedy powiedziałem że mam od ciebie wiadomość. Wszystkie oczy błyszczały jak gwiazdy. Wyjąłem list z kieszeni. A! gdybyś wiedział, panie Robercie, w jakim znalazłem się kłopocie. Zapomniałem zupełnie chowając go do kieszeni że prócz pieniędzy kładę do niej i moją fajkę!... Zostawia to zawsze po sobie ślady... a zresztą już sam zapach... Dla mnie nic to nie znaczy, ale dla panny Emeliny!... Udała jednak że nic nie widzi i nic nie czuje, a Ludwika chciała mi porwać list i przeczytać go sama. Nie pozwoliłem na to; do mnie był pisany, miałem więc prawo sam go przeczytać. Odczytałem nawet cały powtórnie, ale Ludwika tak była ucieszona tem co jej wybawiciel zamieścił o niej, że chciała koniecznie abym powtórzył po raz trzeci... „Daj pokój Ludwiko, rzekła panna Emelina, pozwól bratu odpocząć, ja już potrafię powtórzyć ci cały list z pamięci.“ Co to za pamięć!... Moja kochana matka aż się rozpłakała rozrzewniona tem, że tak młody i bogaty człowiek jak ty, panie Robercie, nie zapomniał jednak o nas. Dla panny Emeliny nie wiele tam było w twoim liście, ale pomimo to zdawała się zupełnie zadowoloną. Poszliśmy razem do Toulousse'ów spełnić twoje polecenie; Toulousse który jest trochę próżnym, spojrzał na żonę tak jakby jej chciał powiedzieć: widać że Paryżanin poznał się na mojej zręczności, i może żałuje że mnie nie ma przy sobie w Paryżu. Panna Emelina która umie wyczytać czyjąś myśl z oczu, śmiała się z tego serdecznie W ogóle jest teraz weselsza jak dawniej, i zupełnie zdrowa, równie jak my wszyscy. Nic tu nie zaszło nowego; *Miasto Royan* tak żwawo jak zawsze uwija się po Żyrondzie. *Miasto Pauillac* uległo uszkodzeniu, i kapitan jego, mój współzawodnik, został oddalony. Kiedy też zawitasz znów do Accroches, panie Robercie? Do tysiąca miliardów głów murzyńskich!... jakże cała rodzina Rovelou będzie w tym dniu szczęśliwą!

„Pozostaje twoim pełnym szacunku sługą, panie de Madiran, a zarazem twoim wiernym przyjacielem, jeźli zechcesz zezwolić na to.

Kapitan Rovelou

Dowódzca statku Miasto Royan.

Wiemy że kapitan czytał dwa razy list Roberta ale nie wiadomo ile razy Robert przeczytał list kapitana.

Lato, które nad brzegami Żyrondy upływało spokojnie i miło, wydawało się Robertowi, w okolicach Troyes, bardzo długiem. Rybołówstwo, przechadzki i książki stanowiły całą jego rozrywkę; najmilszym dla niego był czas który przepędzał na poważnej i nauczającej rozmowie z ojcem.

W jesieni rozpoczęły się polowania, wizyty sąsiedzkie, Robert oczekiwał jednak niecierpliwie zimy. Cóż ta zima przynieść mu miała?

Tego nie umiałby sam powiedzieć. Może wynagrodzenie za przeszłość, może nowy smutek w przyszłości, ale zawsze coś takiego co ożywi jego życie teraz bez celu, i myśli jego oderwie od przeszłości. Stanowczo postanowił sobie że z końcem zbliżającej się zimy obierze sobie jakiś zawód. Był tak majętnym że nie potrzebował tego, ale chęć stania się użytecznym, wyrobienia sobie własną zasługą jakiegoś stanowiska w społeczeństwie, nie dozwalała mu pozostać dłużej bezczynnym.

Już i tak stracił kilka lat bezużytecznie, i o mało co nie zwichnął sobie bezpowrotnie życia; jedynie dzięki opatrzności przejrzał wreszcie jasno i stał się znów panem swego serca i swych czynności.

Za kilka miesięcy rozpocznie zawód dyplomatyczny, stosownie do życzenia ojca, i puści się w świat aby nauczyć się badać dusze, fizyognomije, poznawać polityków i ich ofiary. Pierwej jednak postara się, za pośrednictwem ojca tak dobrego i tak rozumnego, zaprowadzić jakąś szczęśliwą zmianę w położeniu biednej Emeliny.

Kiedy panowie de Madiran wrócili po pierszych przymrozkach do Paryża, udali się zaraz do notaryusza, zajmującego się interesami barona d'Astiville i hrabiny d'Anglejean.

Państwo d'Astiville wrócili przed paru dniami, ale stary oficer marynarki był równie jak przedtem sparaliżowany i niezdolny opuścić swego pokoju, do którego na rękach go wniesiono.

Pan de Madiran postanowił odwiedzić go wkrótce.

Druga wiadomość której udzielił im notaryusz była bez porównania ważniejszą. Hrabina pisała do niego z Brukselii, aby kazał urządzić dla niej pałac który posiadała na przedmieściu Saint-Germain, miała więc mieszkać w sąsiedztwie pana de Madiran, jakaż to wyborna karta w ręku dobrego gracza!

Pełnomocnik jej miał natychmiast zgodzić najpierwszych tapicerów, najsłynniejszych dekoratorów, zapełnić kwiatami szklarnie, zadość uczynić wszelkim wymaganiom tegoczesnego zbytku.

Notaryusz nie uważał za rzecz potrzebną ukrywać tych szczegółów przed panem de Madiran, dawnym przyjacielem tej rodziny, a zwłaszcza zmarłej baronowej d'Astiville, klientki tak wysokiej wartości monetarnej, że pamięć o niej nie zatarła się dotąd w jego kancelaryi.

Tak pomyślna wiadomość wprawiła Roberta w najżywsze uniesienie, myliłby się jednak bardzo ten ktoby wnosił że wspomnienie pani d'Anglejean wpływało na to choćby cokolwiek. Wszystkie zwodnicze i niebezpieczne o niej marzenia przedstawiały mu się już tylko jako wspomnienie jakiegoś snu przykrego i męczącego; te tylko szczegóły przechowały się żywo w jego pamięci które mu przypominały krzywdę wyrządzoną Emelinie.

Pewnego dnia siadając z książką w ręku przy oknie, zobaczył otwarte po raz pierwszy okna pałacu, którego ogród stykał się z ogrodem pałacyku pana de Madiran. Był to budynek z czasów Ludwika XIV, dobrze jeszcze zachowany, na którym zatrzymywał nie raz roztargnione i równie obojętne spojrzenie, jak na wielu innych należących do tej samej epoki, i zapełniających arystokratyczne przedmieście.

Zawsze zamknięty, musiał zapewnie należeć do jednej z tych rodzin, które z powodu wstrząśnień politycznych, przenoszą się do dóbr swoich, gdzie oczekują na powrót sympatycznego im rządu. Robert nie był nigdy ciekawym dowiedzieć się nazwiska właściciela, słyszał tylko że pałac ten już od dawna był niezamieszkanym.

Robert domyślił się teraz że należał do hrabiny. Mąż jej otrzymał go w spadku od baronowej d'Astiville; lecz że ta mieszkała w pozostałym po mężu, a ten wynajmowała zawsze, pan de Madiran nie wiedział że posiadała nieruchomość stykającą się z jego ogrodem.

Nowe budowle przy bulwarze Montparnasse przytłaczały trochę pałac hrabiny, ale nie stracił nic ze wspaniałości od strony ogrodu, ciągnącego się aż ku ulicy Notre-Dame-de-Champs, i którego odwieczne drzewa rozciągały swe gałęzie aż za mur ogrodu pana de Madiran.

Robert pośpieszył natychmiast uwiadomić ojca o swojem odkryciu.

— O! zawołał, gdyby Emelina mieszkała z matką w tym pałacu, znajdującym się tak blizko tego który pragnie stanąć w jej obronie, Opatrzność nasunęłaby mu sposobność wywalczenia dla niej choć trochę szczęścia.

— Podzielam twoje zdanie. Opatrzność kieruje rzeczywiście naszemi losami i mam nadzieję że i w tym także razie dojdziemy do pożądanego celu, trzymając się wskazanej nam przez nią drogi.

W pałacu panował ruch wielki; robotnicy przeistaczali go w mgnieniu oka, i po kilku dniach zrobili z tego posępnego mieszkania w którym poważni prawnicy przepędzali życie, nad księgami praw, zbytkowny apartament zalotnej i światowej kobiety.

tych zabaw; zajęła w nim pierwszorzędne stanowisko, które opuścić wydawałoby się jej szaleństwem.

XI.

Hrabina d'Anglejean przybyła w pierwszych dniach grudnia, i raczyła podziękować swemu pełnomocnikowi, że potrafił zmienić tak korzystnie to dawniej ponure jak więzienie mieszkanie.

— Było podobne do grobu, i za nic w świecie nie chciałabym się w nim zagrzebać; pan zaś przekształciłeś go na mieszkanie wesołe i pełne życia, w którym spodziewam się przebyć wiele dni wesołych. Będę tu mogła dawać świetne bale.

— Na jedno skinienie pani hrabiny, całe wyższe towarzystwo paryzkie, zapełni salony pałacu d'Anglejean, odpowiedział ucieszony pochwałą.

— Tak, porozsyłam bilety moim znajomym ze wszystkich części świata... Czy tylko się tu pomieszczą, choćby niezbyt wygodnie?..

Przyglądała się z zadowoleniem niezwykłej rozległości swego apartamentu, jego wspaniałości i prawie artystycznemu urządzeniu.

— Widzę że mi tu dobrze będzie, dodała. Pozostanę tu na czas dłuższy aby odpocząć po moich ciągłych podróżach.

Nie zmieniła się wcale od owego dnia w którym odmówiła w osobie Roberta; setnemu pretendentowi do jej ręki. Zawsze uderzająco piękna spokojna i dumna, przychodziła odpocząć w swym starożytnym pałacu, po tryumfach odniesionych we wszystkich salonach w Europie.

Zdawało się że ręka czasu nie śmie dotknąć się tej uprzywilejowanej istoty, która tak wyraźnie opierała się jego władzy. Żadna myśl poważniejsza nie zmarszczyła jej czoła; zawsze jednostajne uderzenia zimnego serca nie uszkodziły symetryi jej posągowych rysów. Oczy nigdy łez nie znające zachowały swój blask uroczy. Nie zamącona nigdy pogoda twarzy zdradzała samolubne zadowolnienie istoty nie kochającej nic prócz siebie, ale mało kto umiał poznać się na tem.

Ta kobieta która nigdy nie kochała i nigdy nie cierpiała, nie mogła i nie chciała zrozumieć czułości i cierpienia w innych. Ubogim rzucała złoto nie patrząc nawet w jakie padnie ręce, ale około boleści moralnej przechodziła obojętnie, bo oschłe jej serce nie mogło zdobyć się na nic podobnego do współczucia.

Taką samą wracała do Paryża w czterdziestym roku życia, jaką była w piętnaście zaślubiając Wiktora d'Anglejean. Doświadczenie, rozwaga, obowiązek, przyszłość, były to tylko czcze słowa dla tej pustej głowy, odurzonej dymem pochwał i hołdów.

Sława jej piękności była tak rozgłośną i ustaloną że w Paryżu z przyjemnością usłyszano wiadomość o przybyciu ślicznej wojażerki. Każda bogata kobieta otwierająca swe salony Paryżanom zawsze łaknącym zabaw i nowości, otrzymuje wkrótce kruche berło królowej mody, to też zanim upłynął miesiąc od przybycia hrabiny do Paryża, przyjęcia w pałacu d'Anglejean zaliczano do tych na których wszyscy należący do *high life* starają się bywać.

Tę chwilę właśnie wybrał pan Madiran aby ukazać się także na scenie. Łatwo sobie wyobrazić z jaką niecierpliwością oczekiwał na to Robert, i o ile on sam musiał panować nad sobą aby nie wystąpić zanim nadejdzie stosowna pora.

Kiedy pan de Madiran stanął na drodze hrabiny jako nieubłagane przypomnienie zmarłego męża, przekwitłej młodości, i opuszczonej przez nią córki, zapóźno już było aby mogła uciec przed natrętem. Paryż pochwycił już Cezarynę w wir swych świetnych zabaw; zajęła w nim pierwszorzędne stanowisko, które opuścić wydawałoby się jej szaleństwem.

Przewidział to dobrze pan de Madiran, i dla tego czekał cierpliwie dopóki piękna jego nieprzyjaciółka nie zdobędzie berła królowej salonów.

Udał się do niej w tej porze dnia kiedy eleganckie towarzystwo zbierało się u hrabiny na tak zwany *lunch*. Nakrywano w jednym rogu salonu stół do herbaty, przynoszono kipiący samowar, i całe towarzystwo, pijąc herbatę kąsało niemiłosiernie bliźnich, krytykowało autorów przygotowywało powodzenie mającej ukazać się sztuce, lub przepowiadało zerwanie jakiegoś małżeństwa.

Jeszcze piąta nie wybiła, i w salonie hrabiny znajdowało się liczne towarzystwo, kiedy pan de Madiran zbliżył się do niej z pełnym grzeczności ukłonem, i powitał słowami uprzejmemi na pozór, a w gruncie bardzo dla niej przykremi.

— Pani hrabina zechce pozwolić aby najlepszy przyjaciel Wiktora d'Anglejean, złożył pozostałej po nim wdowie uszanowanie, przeniknione wspomnieniami wspólnej naszej młodości.

Cezaryna zwróciła na niego przerażone spojrzenie. Nie zdumiałaby się więcej gdyby widmo męża ukazało jej się nagle.

Wiktor d'Anglejean!... wspomnienia młodości tego starca!... o jakichże to przedpotopowych mówiono jej rzeczach?

— Obydwaj z Wiktorem byliśmy ulubieńcami zmarłej baronowej d'Astiville, której dom był dla Wiktora prawie rodzicielskim domem, co także dozwala mi spodziewać się łaskawego przyjęcia ze strony pani hrabiny.

Cezaryna słuchała jakby przez sen tego drżącego już trochę od starości głosu mówiącego jej o przeszłości. Przeczuwała że ją spotka jakaś przykrość.

Goście słuchali także nic nie rozumiejąc, trochę zadziwieni pomięszaniem widocznem w twarzy hrabiny.

Cezarynie zabłysła nagle iskierka nadziei; goście jej patrząc na takiego starca, muszą być przekonani że ten Wiktor d'Anglejean o którym on mówi, musi być co najmniej ojcem jeżeli nie dziadkiem jej męża.

Nielitościwy starzec nie chciał jednak zostawić pod tym względem najlżejszej wątpliwości; życzył sobie aby zgromadzone tam osoby poznały całą prawdę.

— Dawniej miałem trochę żalu do Wiktora d'Anglejean, za to że zapomniał prawie o mnie w ostatnich latach życia, ale spotkał panią która dałaś mu szczęście, kiedy jego przyjaciel Paweł de Madiran, nie mógł mu dać nic prócz swej dawnej i wiernej przyjaźni. Któż może potępić go za to że wybrał to co było tak godnem pożądania?

Ukłonił jej się z zeszłowieczną galanteryą, i dodał:

— Z pewnością nie uniżony sługa pani hrabiny, odkąd miał szczęście poznać wdowę swego przyjaciela.

W tej chwili służący wszedł z tacą do salonu i hrabina rada z tej przerwy, zaprosiła swych gości na herbatę.

Dotąd odpowiadała panu de Madiran zimnym uśmiechem, ale czuła że wypadało jej coś powiedzieć, a obawiała się aby jej słowa nie zdradziły wewnętrznego rozdrażnienia, i pomimowolnie rzuciła na niemiłego gościa ostre, gniewne spojrzenie.

— Biedna Emelina! pomyślał, spotkawszy jej wzrok, pan de Madiran.

— Niech pan przyzna, rzekła nakoniec przynosząc mu filiżankę herbaty, że nie można się dziwić temu, jeżeli zrazu nie zrozumiałam nic z tych wspomnień sięgających młodości pana: są to rzeczy całkiem dla mnie nieznane.

— Muszę przebaczyć pani mężowi że jej nigdy nie wspomniał o mnie: zabierając jego serce odebrała mu pani także pamięć.

Odeszła, i czego dotąd nigdy nie bywało, starała się sama usłużyć każdemu ze swych gości, i nawet ruchy motyla unoszącego się nad kwiatami nie są tak pełne powabu jak były jej poruszenia w tej chwili.

Spodziewała się tym sposobem przerwać tę niemiłą rozmowę, w której obawiała się okazać cierpką, a czuła się niezdolną słuchać jej cierpliwie.

Starzec ten był zbyt światowym człowiekiem aby go można było posądzić o tak wielką nietrafność postępowania. Nie, jeżeli ją prześladował to mszcząc się za syna któremu odmówiła swej ręki. Nazwisko Madiran powinno jej było zaraz otworzyć oczy.

Robert musiał ją przedstawić ojcu jako niegodziwą zalotnicę, niezdolną ocenić jego wartości, ani odpowiedzieć wzajemnością na jego uczucia, i którą sprawiedliwość nakazywała ukarać za taką niewdzięczność, przy pierwszej zdarzonej sposobności.

W takim razie ona znów powinna dowieść temu obrażonemu ojcu że trudno było oprzeć się urokowi jej wdzięków, i że nie była tak dalece występną jeżeli nie mogła oddać ręki tym wszystkim którzy się o nią ubiegali.

Prędka zawsze w powzięciu postanowienia Cezaryna, zamieniła się natychmiast w syrenę której dotychczas mało kto zdołał się oprzeć. Jej uśmiech, spojrzenia, ruchy, pozy, uległy zupełnemu przeistoczeniu. Zapomniała prawie o swych przyjaciołach aby łatwiej mogła ująć sobie tego nieprzyjaciela którego chciała oczarować koniecznie.

— Usiądź pan przy mnie, rzekła z niezwykłą słodyczą w głosie, i pomówmy z sobą o tych dawnych, ale nie zgasłych uczuciach, które tak w moim jak w pana sercu pozostawiły głębokie ślady.

Pan de Madiran mógł spodziewać się wielu rzeczy od tak lekkomyślnej istoty, ale nigdy tak nagłej zmiany frontu. Nie zmieszał się tem jednak i nie dozwolił się olśnić; zachęcano go aby mówił o zmarłym przyjacielu, więc mówił o nim z uczuciem, taktem, umiarkowaniem, nie starając się ani drażnić, ani wzruszyć hrabiny, ale raczej ją uspokoić.

Kiedy hrabina była już przekonaną że nie ma do czynienia z nieprzyjacielem, ale tylko z jakimś oryginałem, zmieniła przedmiot rozmowy, pozostając zawsze równie ujmującą i uroczą. Zaczęła mówić o zmianach zaprowadzonych w jej pałacu, co dozwoliło panu de Madiran powiedzieć że ma szczęście być jej sąsiadem, że ogrody ich stykają się z sobą, i że nawet znalazł w rozdzielającym je murze ślady zamurowanych drzwiczek, które niegdyś skracały drogę właścicielom tych dwóch posiadłości, i wyraził żal że teraz już nie istnieją.

— Ba! rzekła hrabina śmiejąc się już zupełnie swobodnie; będzie tu pan wchodził przez bramę... i mam nadzieję że będę miała przyjemność widywać go często, gdy tymczasem te skryte drzwiczki... to rzecz kompromitująca.

— O! niech się pani nie lęka, zabezpieczają je gałęzie bluszczu, który trzebaby wyciąć chcąc utorować sobie przez nie wejście, a moje osiemdziesięcioletnie nogi dozwalają mi jeszcze przejść drogę

dłuższą ale ułatwioną mi przez łaskawe jej przyjęcie.

— Czy syn pana ciągle podróżuje? zapytała Cezaryna, która widząc się zmuszoną znosić obecność ojca, chciała się przynajmniej uchronić od wizyt syna.

— Robert?... Nie pani; już od kilku miesięcy mieszka ze mną.

— Czy równie wiernie jak pan, przechowuje swoje wspomnienia?

— Bynajmniej. Robert należy do młodej szkoły, to jest do otrząsającej się z najbardziej uroczych wspomnień... skoro te są bezużyteczne.

— Niech więc pozostanie zdala od tego co mogłoby ożywić te wspomnienia, odpowiedziała z żywością, uszczęśliwiona że została tak dobrze zrozumianą.

Ale w takim razie jakież były zamiary pana de Madiran? Bezwątpienia chciał tylko użyć tej przyjemności tak drogiej starcom, rozmawiania o osobach już nieżyjących, a kiedyś dobrze im znanych.

Lecz i to złudzenie wkrótce rozproszyć się miało. Zaczęto właśnie mówić w salonie o balu który hrabina miała wydać za kilka dni, i pan de Madiran korzystając z tego odezwał się głośno:

— Może pani hrabina zechce nam zrobić miłą niespodziankę, dozwalając nam zobaczyć swą kochaną i śliczną córkę w rozkwicie dziewiętnastej wiosny życia, rozpoczynającą obok niej ten bal świetny.

Cezarynie zdawało się że grom w nią uderzył; usta jej posiniały pod cypryjskim różem czyniącym je podobnemi do roztwierającego się pączka granatu.

Pan de Madiran umiał zawsze postępować z taktem i umiarkowaniem, i teraz też dał tego dowody.

— Wiem, mówił dalej, że delikatne zdrowie córki zmuszało panią dotąd trzymać ją zdala od siebie, ale teraz kiedy dzięki długiemu pobytowi na wsi wyrosła na zdrową i piękną panienkę, może pani bezpiecznie zawezwać ją do siebie.

Pomieszanie hrabiny i wiek jej córki, wymienione tak wyraźnie, wywołały jakieś niekorzystne wrażenie połączone z głębokiem zadziwieniem, w osobach znajdujących się w salonie. Pomimo ciosu zadanego jej samolubstwu, Cezaryna zachowała jeszcze tyle przytomności umysłu że odgadła to zaraz, a jednocześnie pomyślała:

— Więc ten natrętny i nieznośny starzec jest mścicielem mej córki!... Ale gdzież on ją widział?

Następnie dodała głośno, starając się ukryć gniew pod miodowym uśmiechem.

— Doprawdy, mam ochotę połajać pana; tem pełnem życzliwości pytaniem pozbawił mnie pan przyjemności przedstawienia niespodzianie mej córki przyjaciołom.

— Więc zobaczymy tu pannę Emelinę?

— Czy pan o tem powątpiewał?

— A! pani!... tak młodziuchna i tak pełna powabu córka jak panna d'Anglejean, zbyt pochlebia dumie macierzyńskiej, aby mi podobno było sądzić że pani mogłaby żyć dłużej jeszcze zdala od niej.

— Zamierzałam też zawezwać ją do siebie jak tylko urządzę wszystko na jej przyjęcie.

— W takim razie zobaczymy ją niedługo.

— Tak, zaprezentuje ją państwu niespodziewanie...

— Więc to dla tego pani hrabina nigdy nam o niej nie wspominała? odezwał się jeden z gości naiwnie.

— A! ma się rozumieć. Jest jeszcze niewyrobiona, nieśmiała, lęka się wejść w liczniejsze towarzystwo, ale mam nadzieję że panie dopomogą mi ją przeistoczyć...

— Byłaby to wielka szkoda! przerwał pan de Madiran; odmalowano mi tak ponętny obraz córki pani hrabiny, że wszelka poprawka byłaby nietylko niepotrzebną, ale nawet szkodliwą.

Spojrzenie Cezaryny było ostre, przykre, głos przytłumiony tajonym gniewem, ale uśmiech z ust nie ustępował. Drobne, białe rączki byłyby chętnie zapuściły paznokcie w ciało prześladowcy, a jednak leżały spokojnie na kolanach.

Tak, obecność córki będzie stanowić dla niej prawdziwą rozrywkę.—Nie mogła zdobyć się na to aby powiedzieć: „prawdziwą radość“ chociaż czuła że wypadało się tak wyrazić. Dla jej dobra jedynie pozostawiła ją tak długo na wsi... Zdrowie jej wzmocniło się przez to... Następstwa strasznej choroby która zeszpeciła Emelinę, — hrabina wymówiła to z lekkim naciskiem,—ustąpiły zwolna. Teraz można było mieć nadzieję że powietrze wielkiego miasta nie wywrze już złego wpływu na jej zdrowie.

— Z pewnością, pani hrabino, mówiono mi że panna d'Anglejean jest równie wysoka i nie wiele szczuplejsza od pani.

— Wcale do mnie nie podobna! zawołała mimowolnie hrabina, obrażona w swej próżności.

— Posiada uroczy wdzięk pani obok swej młodości. Czegóż więcej mogłaby żądać?

Wszyscy zawtórowali jednogłośnie panu de Madiran, nie domyślając się nawet dwóznaczności jego komplimentu.

Hrabina potrafiła zapanować dotąd nad swem rozdrażnieniem, czuła jednak że z każdą chwilą traci coś z jej mocy nad sobą, która jej dozwalała pomimo gniewu zaciskającego jej zęby, zmuszać usta do uśmiechu.

Pan de Madiran zrozumiał że jakkolwiek w tej pierwszej utarczce odniósł wielkie zwycięztwo, ostrożność nie kazała mu przedłużać jej zbytecznie. Wiele już i tak zyskał, skoro wymógł przyrzeczenie że hrabina przywoła do siebie Emelinę, i otworzył sobie wstęp do jej domu, bo wszakże prosiła go wyraźnie aby bywał u niej często.

Żegnając ją przypomniał jej to zaproszenie, dziękując za nie jakby za prawdziwą łaskę.

Czy zaprosiła go rzeczywiście? Czy mogła tak lekkomyślnie otworzyć nieprzyjacielowi wstęp do swego domu?

Cezaryna była zmuszoną wyznać że zbieg okoliczności włożył na nią przykry obowiązek przyjmowania u siebie przyjaciela młodości zmarłego męża, obrońcę opuszczonej przez nią córki, który umiał wyzyskać to położenie przedstawiając jej się w tym charakterze w obec tylu świadków.

Te kilkanaście słów które wyrzekł w jej salonie napełnionym plotkarzami i zazdrośnymi, tak do gruntu wstrząsnęły istnienie hrabiny, że je zmieniły do niepoznania. Przestała już być kobietą młodą, zwracającą na siebie oczy wszystkich, królową salonów, a będzie odtąd tylko wdową po dawno już zmarłym starcu, matką córki na wydaniu.

Nie dość na tem, jakby dla wyraźniejszego oznaczenia linii demarkacyjnej między przeszłością i przyszłością, goście jej wiedzeni nienasyconą nigdy ciekawością, zaczęli dopytywać się o tę córkę dotąd nieznaną nikomu. Trzeba było mówić o niej z temi którzy już byli i z temi którzy już nadchodzili później, czując że każdy z oddalających się biegł co prędzej do znajomych, podzielić się z nimi tak niespodziewaną wiadomością.

Kiedy nakoniec wieczorem Cezaryna została już sama i zaczęła zastanawiać się nad skutkami rozgłoszenia po całym Paryżu rzeczywistej cyfry jej lat, wyraz goryczy wystąpił na jej twarz dumną, na której zwykle malowała się tak pełna spokoju pewność siebie. Z ust jej nie wyszła żadna skarga, ani też choćby jedno życzliwe słowo dla tej córki, którą przez wzgląd na opinję była zmuszoną wziąść do siebie.

Siedziała długo zatopiona w gorzkich myślach, czując że nie ma sposobu oprzeć się nieubłaganej rzeczywistości, którą tak długo odpychała wszelkiemi siłami, ani też wyłamać się od ciężkiego dla niej obowiązku, niezłagodzonego przywiązaniem.

Nazajutrz po tym dniu który odtąd nazywała „ostatnim dniem swego szczęścia,“ napisała do Ludwiki aby przywiozła do niej Emelinę. Po zapieczętowaniu listu położyła go przed sobą i przez kilka minut patrzyła na niego tak smutnie, jakby miał unieść z sobą całe jej szczęście. Podała go nakoniec prędkim, prawie nerwowym ruchem służącemu który już na niego czekał, i szepnęła skoro drzwi zamknęły się za nim:

— Moje szczęście już skończone... ale wątpię aby rozpoczęło się dla niej.

Biedna Emelina! Pan de Madiran miał słuszność wyrażając się tak o niej.

XII.

Emelina dzięki swemu łagodnemu usposobieniu była mało wymagającą; pragnęła tylko posiadać przywiązanie otaczających ją osób, żyła też szczęśliwie w Accroches, gdzie nic nie zamąciło pogody jej umysłu, i gdzie była kochaną nietylko od osób składających rodzinę Rovelou, ale od wszystkich mieszkańców wioski i dzieci, które zawsze uczyła chętnie i cierpliwie, kiedy w dnie ciepłe i pogodne zbiegały się do niej w tym celu pod drzewa nad brzegiem rzeki.

Jak kwiat otoczony promieniami słońca piękniej rozkwita, tak Emelina oddychała swobodniej czując się otoczoną życzliwemi sercami. Jakże byłaby szczęśliwą gdyby matka tak ją kochała jak ci poczciwi ludzie z Accroches.

Pozbawiona tego szczęścia, pocieszała się myślą że kiedyś je pozyska, i poprzestawała na monotonnym życiu, tej cichej, ubogiej wioski, jak gdyby do niego była zrodzoną.

Rzeczywiście powołanie jej do właściwego dla niej życia zależało od kaprysu matki; oczekiwała na to spokojnie. W dniu kiedy matka zażąda jej miłości lub poświęcenia, będzie gotową na jej wezwanie, ale obecnie dla czegóż miałaby się użalać? Serce Ludwiki tak dobrze rozumie jej serce.

Nadszedł nakoniec dzień zapowiadający zupełną zmianę w jej życiu. Pewnego dnia rano; kiedy wszyscy mieszkańcy domku kapitana siedzieli razem przy stole, bryftreger wiejski przyniósł list, którego się tam nie spodziewano wcale. Pani d'Anglejean krótko i zimno wzywała do siebie córkę, nadmieniając że odtąd już stale będzie mieszkać przy niej.

Ludwika zasmuciła się bardzo; to wezwanie, czyli raczej rozkaz tylko, bo nie przebijała się w nim najdrobniejsza iskierka uczucia, zapowiadało jej stanowcze rozłączenie.

Emelina była silniej wzruszoną niż to okazać śmiała. Oczekiwanie było już skończone, teraz miała rozpocząć właściwe życie. Nie opuści bez żalu tej cichej wioski, ale myślą dążyła już ku pełniejszemu, użyteczniejszemu istnieniu, odpowiadającemu, lepiej jej wychowaniu i wzniosłem dążeniom.

Ileż to łez popłynęło w Accroches kiedy trzeba się było rozłączyć. Matka Rovelou utrzymywała że jest już zbyt starą aby mogła mieć nadzieję że zobaczy swoją drogą Emelinę, ta zaś całując ją zapewniała że kiedyś jeszcze przyjedzie do niej.

— W Paryżu, ludzie zapominają łatwo, rzekła sędziwa wieśniaczka. Widzisz, moje dziecię ten młody paryżanin co był u nas na wiosnę, przyrzekł że tu przyjedzie...

— A tymczasem my do niego jedziemy, przerwała Ludwika chcąc rozweselić matkę.

Emelina zarumieniła się. Ten o którym mówiono przesunął się przed jej oczyma szybko jak błyskawica... ale błyskawice niekiedy olśniewają.

Rovelou był także smutny. Zabierano mu radość i pociechę domu. Skoro teraz przyjedzie do Accroches ktoż go powita wesołym śmiechem? Kto go odprowadzi do przystanku?.. Kto mu przygotuje wędki i sieci tak pięknie zrobione, że na pierwszy rzut oka trzeba było się domyślać że to praca arystokratycznej rączki. Kto nakoniec połaje go tak ładnie kiedy zapomni wyjąć z ust swej ulubionej fajeczki.

Jednak zacny kapitan starał się ukryć ten trochę samolubny smutek. Skoro Emelina odnalazła nakoniec matkę, nie powinien nawet westchnieniem dać poznać że jej oddalenie się z Accroches sprawia mu przykrość.

Ludwika jechała do Paryża niepewna jakiego tam dozna przyjęcia: Czy jej obecność będzie tam pożądaną lub choćby tylko tolerowaną? Myśl o rozłączeniu się ze starą matką lub Emeliną równą boleścią napełniała jej poczciwe serce.

— Bóg mną pokieruje, powtarzała w myśli.

W pałacu d'Anglejean przygotowano pokoje dla „panny Emeliny i dla panny Rovelou, jej dawniejszej nauczycielki," stosownie do rozkazu hrabiny. Mieszkanie Emeliny było urządzone bardzo zbytkownie, widać że pani d'Anglejean troszczyła się więcej o klatkę dla ptaszka który miał do niej przybyć niżeli o samego ptaszka.

Powitała córkę ze swą zwykłą oziębłością ale połączoną z widocznem zadziwieniem, przez te kilka miesięcy zaszła w niej zmiana która dotąd zdawała się hrabinie niemożliwą: Emelina wypiękniała.

Kibić była wysmukła, pięknie utoczona, ruchy zręczne pełne dystynkcyi; nóżka malutka, rączka arystokratyczna, całość bardzo ponętna.

Cezaryna tak wysoko ceniąca piękność, musiała przyznać że ta którą dotąd nazywała „brzydką dziewczyną" posiadała więcej powabu nad wiele kobiet uważanych za ładne. Same jej cudne oczy, tak głębokie i pełne wyrazu, zapewniały jej miejsce wśród tych które zwracają na siebie uwagę choćby nawet były ubogie, a odbierają hołdy jeżeli są bogate.

Hrabina zdobyła się na tyle odwagi aby to przyznać, a nawet przyjąć prawdopodobne tego następstwa, ale nie była dość szlachetną aby się z tego cieszyć.

— Zostaniesz już przy mnie Emelino, rzekła wprowadzając córkę do wykwintnie urządzonego dla niej pokoju, wychodzącego na ogród. Zaczniesz ze mną bywać w świecie... chociaż nie wiem doprawdy jak tam zwłaszcza z początku znaleźć się potrafisz. Zwracajże baczną uwagę na wszystko, nie mów wiele i nie staraj się zwracać na siebie uwagi, a wkrótce poznasz zwyczaje i wymagania naszych salonów. Teraz o to głównie starać się powinnaś aby obejście twoje nie było rażące w dobranem towarzystwie.

— Będę się starała naśladować ciebie, droga matko, odpowiedziała Emelina.

— Pochlebnico!... I ty, Ludwiko pozostaniesz tu, dopóki panna Emelina nie przyzwyczai się zupełnie do swego nowego położenia.

Ludwika podziękowała w duszy Opatrzności że jej dozwala czuwać nad ukochaną wychowanicą, w pierwszych chwilach jej ukazania się w świecie.

Jak gdyby to było jedynym celem życia, Cezaryna zaczęła odtąd wtajemniczać córkę w zwyczaje światowe, przepisy towarzyskie, w nakazaną zmianę toalet stosownie do każdej pory dnia; uczyła jak się powinno siedzieć, chodzić, mówić i słuchać w salonie.

Szwaczki i różne dostawcy przedmiotów służących do toalety wchodzili ciągle do pokoju Emeliny, ukrywając z trudnością zadziwienie że mają do czynienia z parafianką nie posiadającą najlżejszego wyobrażenia o wymaganiach mody.

Jeden dziwił się że panna d'Anglejean poprzestawała na swych własnych włosach, drugi że nie umiała popisywać się z trenem u sukni; trzeci, że wysmukła jej kibić nie znała dotąd sznurówki zasługującej na tę nazwę.

Emelina nie sprzeciwiała się wcale dopóki szło tylko o suknie opięte, bezmiernie długie treny, i obcisłe buciki na wysokich obcasach, mniejsza o te niedogodne dodatki. skoro matka je przekłada nad skromną sukienkę i wygodne obuwie które nosiła w Accroches, dopiero fryzyer zbliżający się do niej z grubym warkoczem i lokami w ręku wywołał jej opór. Rozpuściła prędko śliczne grube i długie warkocze jakby chciała dowieść że nie potrzebuje żadnych dodatków.

— Cóż z tem zrobisz? zapytała niecierpliwie hrabina, obecna zawsze przy tych ważnych posiedzeniach.

Emelina ułożyła czarne lśniące warkocze w podwójny diadem, nasunęła na czoło trochę drobno zafryzowanych włosów, i tak przybraną głowę pochyliła do ust matki aby odebrać pochwałę w pocałunku.

Pochwała była serdeczniejsza od pieszczoty. Emelinie tak było ładnie w tem pełnem prostoty i artystycznego wdzięku ułożeniu włosów, że hrabina kazała odejść fryzyerowi.

— Możesz się tak zawsze czesać, rzekła wstając Ja teraz idę do salonu, bo o tej porze zjeżdżają się do mnie na *lunch*. Zobaczymy się przy obiedzie.

Do obiadu zasiadły we dwie tylko, ale mało z sobą mówiły. Następnie hrabina zmieniła po raz piąty w tym dniu toaletę i udała się do teatru Opery, a córka jej westchnąwszy smutnie wróciła do Ludwiki.

Nazajutrz Emelina rozsunęła firanki jak tylko pierwszy promyk słońca zajrzał do pokoju. Pod jej oknami rozciągał się ogród wymuskany, wystrojony, z prostemi ulicami dochodzącemi do kłąbów z dzikich drzew i krzewów. Jakże ten widok był odmiennym od tego na który przywykła patrzeć w Accroches, a jednak podobał jej się jako przypominający tamte drzewa i drogi.

W głębi ogrodu i po lewej jego stronie wzrok zatrzymywał się na lśniących szybach cieplarni, na poczerniałym murze, i na ogołoconych z liści drzewach, na prawo stoletnie lipy zasłaniały sąsiednie domy.

Wprost okien, pomimo rozłożystych gałęzi, widać było szczyt pałacyku w którym wspominano często Emelinę, wyglądano jej przybycia, i cieszono się szczerze gdy ją tam nakoniec ujrzano. Była więc tak blizko, i może nawet szczęśliwa, bo z pewnością nie domyślała się tego że to nieznani jej przyjaciele zmusili poniekąd matkę aby ją przywołała d[o] siebie.

Poznały ją, gdy stanęła w oknie, młode i bystr[e] oczy, i zaćmiły się chmurką żalu że jej powitać ni[e] będą mogły; dostrzegły ją także oczy osłabione wie[] kiem, i zabłysły wyrazem zadowolnienia z odniesio[] nego w jej obronie zwycięztwa.

— Kiedy będziesz u pani d'Anglejean, mój ojcze zapytał Robert.

— Dziś wieczorem.

— Ah! ojcze, jakże jesteś dobrym!

— Nie jest to bynajmniej dowodem dobroci, jeżeli mając wstęp wolny do pałacu d'Anglejean, chc[] poznać to cudowne zjawisko które ci się ukazał[o] w Accroches,

— Tak, właściwiej było powiedzieć że jesteś ba[r]dzo szczęśliwym.

— Mógłbyś podzielać ze mną to szczęście, gdyb[y] nie to dziwne zaślepienie któremu ulegając w mal[o]widle widziałeś rzeczywistość... w owocu jesiennym wiosenny.

— Ojcze; bądź wspaniałomyślnym! moja miło[ść] własna już i tak ciężką poniosła ranę, w skutek t[ej] nieszczęsnej pomyłki!...

— Zamykającej przed tobą drzwi domu, w kt[ó]rym dzięki naszym staraniom przebywa obecn[ie] panna Emelina.

— Myślą będę ci tam towarzyszył, ojcze.

— Pocieszając się tem jeszcze, że samo wsp[o]mnienie o tobie, dozwoli mi natychmiast pozyska[ć] zaufanie panny d'Anglejean.

Żarciki pana de Madiran były niczem w porówn[a]niu z tymi których Robert sam nie szczędził sobi[e]. Był nawet dla siebie zbyt surowym, zapominając [] młodość i niedoświadczenie usprawiedliwia wi[] pomyłek, które ludzi w wieku dojrzałym okrywał[] by śmiesznością.

Pan de Madiran udał się rzeczywiście wieczor[em] do hrabiny, z silnem postanowieniem nie cofnię[] się nawet w razie gdyby go tam nie zbyt uprzejm[ie] przyjęto.

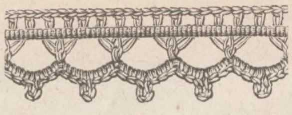
Jakkolwiek hrabina czuła głęboki żal do pana Madiran za to że zmusił ją poniekąd do tak waż[nej] dla niej zmiany, miała jednak tyle mocy nad s[] że powitała go grzecznie. Czuła to, że skoro musiała wprowadzić w świat tak słuszną córkę, piej wyjdzie ukrywając przed ludźmi jak wiele ją kosztuje.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 30.

(Dalszy ciąg).

N. 11. Suknia z odmiennym stanikiem.



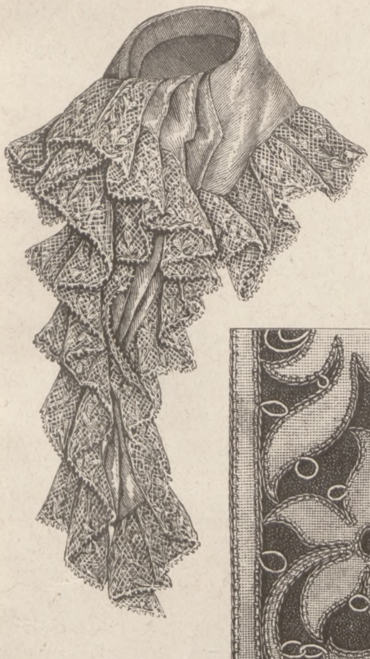
N. 1. Koronka szydełkowa z tasiemeczką mignardisse.



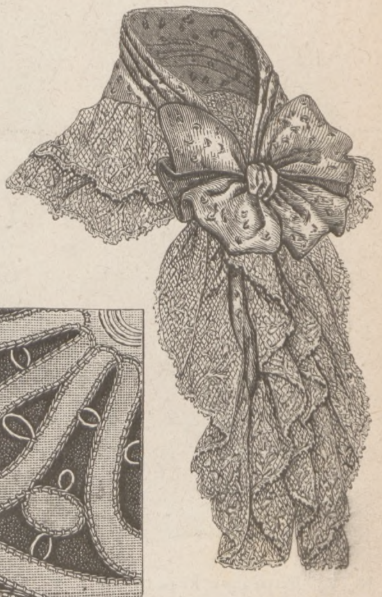
N. 5. Poduszeczka na kanapę ozdobiona haftem weneckim. Deseń naturalnej wielkości na ryc. 6.



N. 2. Koronka szydełkowa z tasiemeczką mignardisse.



N. 3. Chusteczka z wyłożeniem tworzącem kołnierz. Patrz koronkę na ryc. 19 w N. 29.



N. 4. Chusteczka z czworokątnego kawałka.

Spódnica z ciemno granatowego wełnianego materyału, dopełniona jest stanikiem z długą gładką baskiną uszytym z blado niebieskiego deseniowego atłasu. U dołu sukni dane trzy plisowane falbanki po 10 cent. szerokości, nad niemi zaś rząd schodzących się z sobą pukli, podszytych jasnym atłasem, po 13 cent. długich a po 6 c. szerokich. Wązka nizko przerzucona draperya z atłasu wymaga skosu 45 cent. szerokiego, sfałdowanego do 26 centym. Prosty bryt upięty z tyłu podszyty jest u brzegów deseniowym atłasem.

N. 12. Ubranie małego chłopczyka.

Może być z cienkiego wełnianego materyału lub z drelichu w paski i składa się z majteczek sięgających do kolan i z bluzy przyciśniętej skórzanym paskiem. Na kołnierz marynarski i wykłady do rękawów dany materyał gładki.

N. 13. Suknia ze stanikiem z baskiną i suto przybraną spódnicą.

Do sukni z jasnej wełnianej materyi dane przybranie z żółtawej koronki 5 cent. szerokiej składanej w kontrafałdy i kokardy z wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej. Spódnicę nie sięgającą do ziemi zakończa u dołu plisowanie z koronki 6 cent. szerokiej, wolant, liczących w górnym prostym brzegu 43 centym. z bocznych skośnych stron po 36 cent. Draperya fałdowana dana z boków układa się z dwóch brytów po 52 cent. długich, 74 szerokich, które w środku łączą się szwem fałdują i przyczepiają do sukni pod wachlarzowym garnirunkiem z koronki. Tylne brzegi draperyi również ufałdowane, zachodzą pod prosty lekko podpięty bryt; przy górnych brzegach naszyte trzy rzędy koronki. Kołnierz wykładany podgarnirowany koronką, zapięty jest pod koronkowemi końcami.

wysuwające się z pod wolantu 32 cent. szerokiego składanego w szerokie fałdy, u dołu oszytego drobniutkiem plisowaniem. Sute przybranie z koronek tworzy rodzaj trójkątów spuszczonych na bo-

N. 14—15. Suknia z tuniką upiętą skośnie.

Spódnica zaplisowana w fałdy po 2 cent. szerokie zakończona jest plisowaniem drobniutkiem z materyału i koronki 5 cent. szerokiej. Plecy stanika zdobnego wielkim koronkowym kołnierzem, mają karczki fałdowane w dwa zęby na które trzeba naddać 20 cent materyału. Z przodu dodany plastron falarowy, u góry 14 cent. szeroki u dołu śpiczasty, zasznurowane jedwabną plecionką. Na skośnie ułożoną tunikę potrzeba dwóch brytów zszytych z sobą, po 60 cent. szerokich, 170 długich, które z prawego boku sfałdowane są do 8 cent. i przypięte haftkami do stanika pod kokardą z wstążki,



N. 6. Część deseniu do haftu weneckiego do ryc. 5.



N. 7. Kapelusz kapotkowy dla panienki lat 14 — 15.

N. 7. Kapelusz okragły dla dziewczynki lat 6 — 8.

z lewego zaś w górze na 28 cent ściętego skośnie brzegu stałdowane do 58 cent. i przyszyte na sukni. Brzeg dolny ścina się w ten sposób ażeby ząb szpiczasty wypadał na środek przodu. Na modelu suknia gładka wełniana miała stanik i tunikę z fularu w rzucik, sznurowanie z grubej jedwabnej pleconki. Kapelusz z włoskiej słomki pokryty atlasem, zdobny wstążką i piórami.

N. 16 i 32. Suknia z tuniką podpiętą z boku. Patrz Ryc. 28 w N. 29.

Do przybrania granatowej perkalowej sukni użyty perkal w deseń kolorowy i wązkie walansjenki. U dołu spódnicy dana szeroka bfa, drobniutko przemarszczona z brzegów i dołu podszyta deseniowym wolantem 10 cent. szerokim. Miary i fałdy tuniki wskazane są na ryc. 33. Górna szalowa część draperyi (a) z boków sfałdowana do 3 centm. przykrywa przyszycie krutszej części b, która przyczepia się sfałdowanym bocznym brzegiem przy gwiazdce pod kokardą z wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej, a z drugiego brzegu jest sfałdowana i wraz z górną częścią zszyta z tylnym prostym brytem lekko podpiętym. Plisy deseniowo skośne liczą po 15. centym. Na ryc. 28 w N. 29 podaliśmy w naturalnej wielkości przemarszenie z koronką oszywające dolny brzeg stanika.

N. 18 i 36. Sukieneczka dla chłopczyka.

Uszyta jest z szarego płócienka i może być noszona z szarfą lub bez takowej; zapięcie dane z przodu na guziki z konchy perłowej. Przy kołnierzu marynarskim i wkładach z granatowego płótna dane naszycie z wązkiej białej plecionki. Bluzka 36 cent. długa złączona jest z fałdowaną spódniczką paskiem 4 cent. szerokim a 70 długim; na spódniczkę potrzeba kawałka materyału 285 cent długiego a 22 szerokiego. Na ryc. 18 kołnierz ogarnirowany jest koronką i związany krawatką z fularu w rzucik. Kapelusz marynarski z ciemnem rondem, opasany skosem fularowym.



N. 16. Ubranie z tunika podpiętą z boku. Model tuniki na ryc. 32. Próbka garnirunku r. 28 w N. 29.

N. 17. Ubranie ze stanikiem gorsecikowym Plecy na ryc. 15 w N-rze 29.

N. 18. Bluzka dla małego chłopczyka. Plecy na ryc. 36.



N. 11. Ubranie z odmiennym stanikiem.

N. 12. Ubranie dla małego chłopczyka.

N. 13. Ubranie ze stanikiem z baskiną i suto garnirowaną spódnicą

N. 14—15. Ubranie ze skośnie upiętą tuniką.

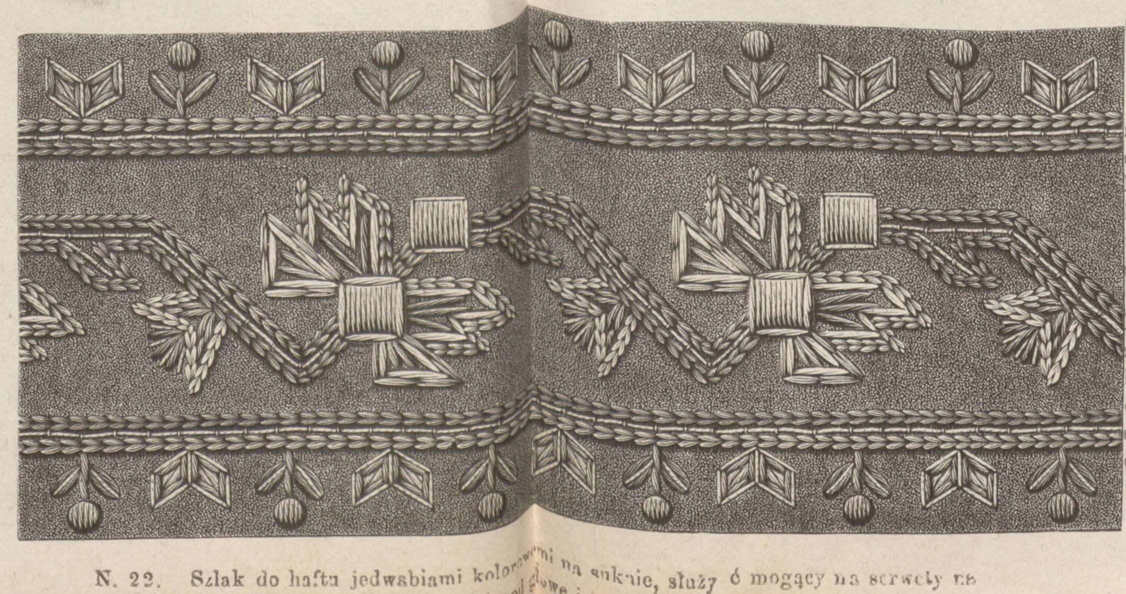
N. 19. Ubranie małej dziewczynki.

Biała batystowa sukieneczka zakończona drobniutkiem plisowaniem na które zachodzi szeroka falbana z haftu angielskiego, przyszyta pod kilkoma rzę-

dami zakładek. Wykrój staniczka i rękawki oszyte węższym haftem; kokardy z kolorowej wstążki.

N. 20. Suknia z długim stanikiem. Patrz ryc. 18 i 23 w N-rze 29.

Materyał na to ubranie stanowią chustki z szerokiemi szlakami w połączeniu z gładkim materyałem, z którego uszyta spódniczka, falbana 37 cent. szeroka ułożona w 12 cent. szerokie kontrafałdy i poprzeczne sfałdów na część draperyi dana między na siebie zachodzącemi częściami trójkątnemi. Na falbanie naszyty jest szlak 12 cent. szeroki, przystębnowany z brzegów wskazanie kroju tuniki podaliśmy na ryc. 18 w N. 29. *a* i *b* oznaczają trójkątne części fałdowane podług znaków. Draperya tylna układa się z całkowitej chustki sfałdowanej środkiem do 24 cent. podług litery *c*; wyższa część odwija się w trójkąt, fałduje na złożeniu i przytwierdza pod karczkiem stanika na tylnym brycie podług ryciny 23 w N-rze 29. Stanik ozdobiony z przodu przemarszczeniem. Guziki z konchy perłowej.



N. 22. Szlak do haftu jedwabiami kolorowemi na suknie, służący mogący na serwety na wałki pod głowę i t. p.

N. 21. Suknia z bluzką. Patrz ryc. 17 i 22 w N-rze 29.

Gustowna sukienka z białego muślinu odpowiednia dla młodej osoby przybrana jest wszywkami koronkowemi wleczonemi wstążką kolorową, bufkami i plisowaniem oszytem koronką, przy sukni 7 i 4 cent. przy draperyi 6, u rękawów 5 cent. szerokiem. Przód sukni o ile widocznym jest z pod tuniki, jest zagarnirowany bufkami i naszyty wszywką. Podług ryc. 17 w N-rze 29 krają się części tuniki. *a* i *b* oznacza części przedniej zaś *c* i *d* draperyę tylną upiętą podług ryc. 22 w N-rze 29. Kokardy z wstążki atlasowej 3 cent. szerokiej.



N. 10. Kapelusz z tiulowemi barbkami dla młodej panienki.

N. 9. Pamela dla dziewczynki lat 2 — 4.

N. 24—26. Pudełeczko na biżuterye.

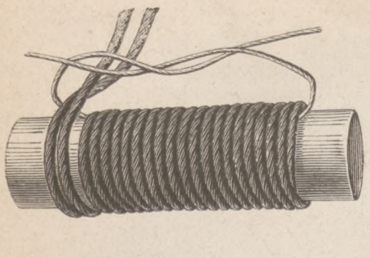
Ozdobne, ośmiokątne pudełeczko na biżuterye potrzebuje być najpierw uklejone z grubej tektury; denko liczy 17 cent. średnicy (każdy boczek ośmiokąta jest 8 cent. długi) ośm bocznych ścianek liczą po 7 cent. wysokości, szerokości zaś 5 w górze a 6 u dołu, średnica wieczka $14\frac{1}{2}$ cent. wynosi. Wewnętrzna strona pudełeczka po-



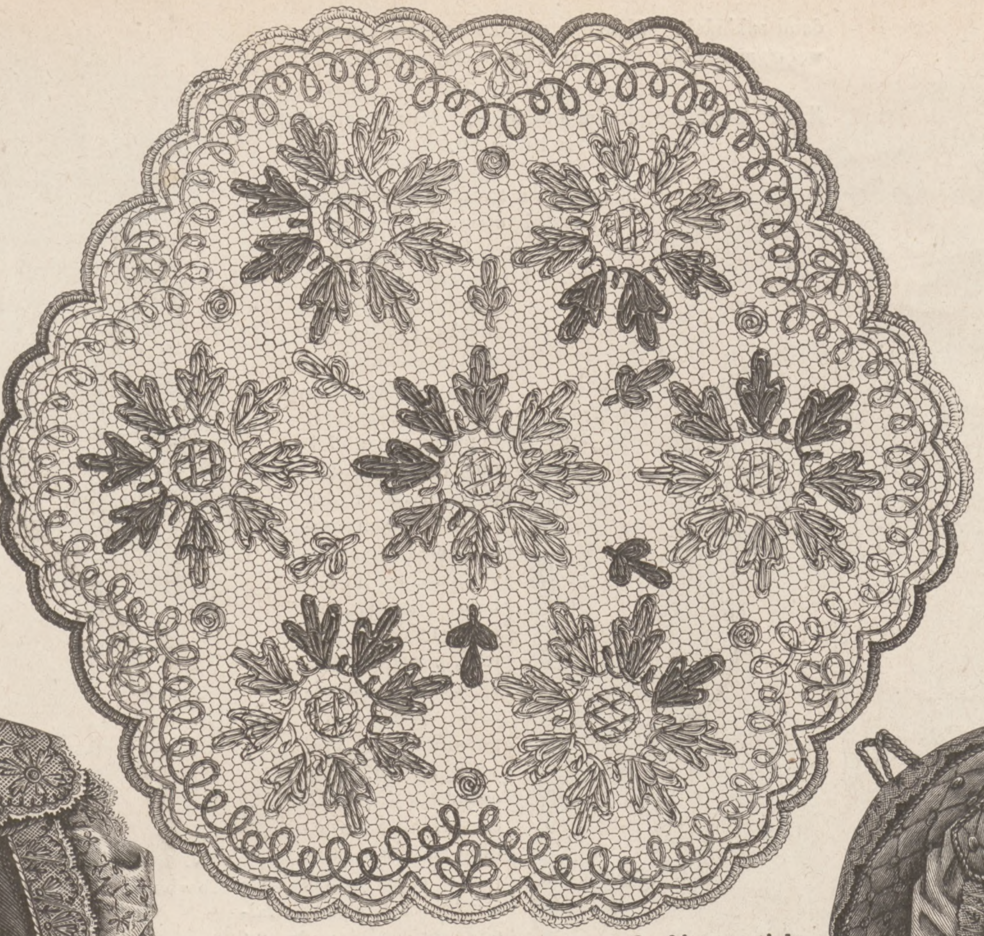
N. 19. Ubranie dla małej dziewczynki.

N. 20. Ubranie ze stanikiem z długą baskiną. Plecy na ryc. 23 w N-rze 29.

N. 21. Ubranie ze stanikiem bluzkowym. Plecy na ryc. 22 w N. 29. Model tuniki na r. 17 w N. 29.



N. 23. Sposób robienia rozet do koszyka ryc. 34.



N. 24. Denko wywodzone kolorowym jedwabiem na tiulu do pudełka ryc. 25, albo jako pokrycie na poduszeczkę.

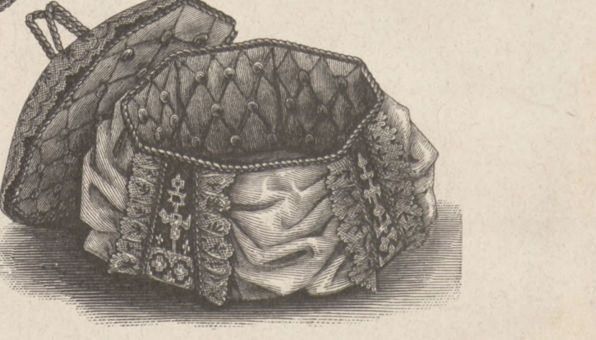


N. 29. Próbka roboty szydełkowej z dodanemi na wierzchu muszkami Wielkość naturalna. Do ryc. 27 i 28

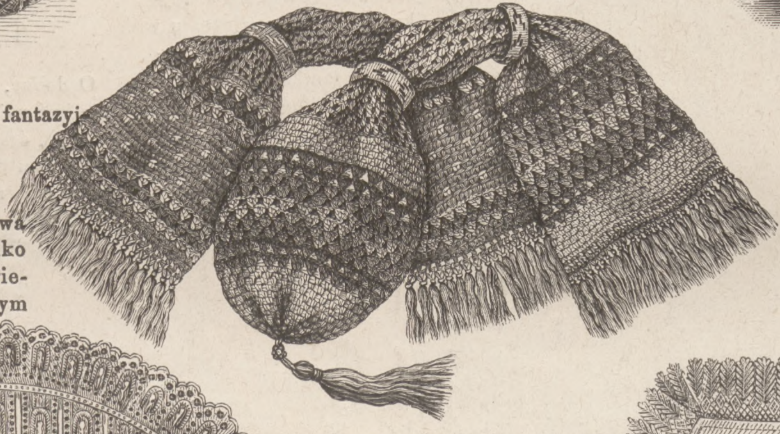
wleczona lekko podwatowanym i pikowanym guziczkami atłasem; ścianki między sobą i z denkiem zszyte są od lewej strony. Zwierzchnie pokrycie ścian bocznych składa się naprzemian z buf układanych z deseniowego fularu i z pasów czarnych atłasowych. Na każdą bufę trzeba kawałka 12 cent. długiego a 10 szerokiego. Pasy atłasowe trochę zwężone w górze ogarnirowane są ko-



N. 25. Pudełko na drobiazgi toaletowe. Robota fantazyjna i haft na tiulu. Patrz ryc. 24 i 26.



N. 26. Pudełko otwarte na drobiazgi toaletowe. Patrz ryc. 24 i 25.



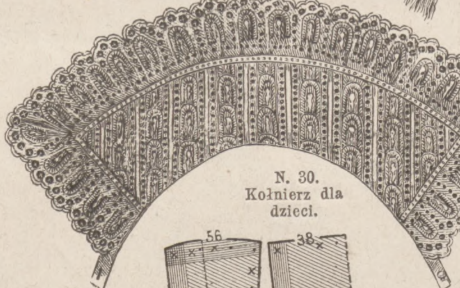
N. 27—28. Dwie sakiewki.

ronką 6 cent. szeroką, której przyszycie przykrywa sznur jedwabny. Wieczko pokryte jest gładko atłasem i ozdobione wyszyciem na tiulu, odpowiedniem do koronki. Deseń wyszycia cieniowanym jedwabiem podaje ryc. 24; do wieczka środkowa gwiazdka jest niepotrzebna, brzegi tylko wycina się w zęby i odzierguje.

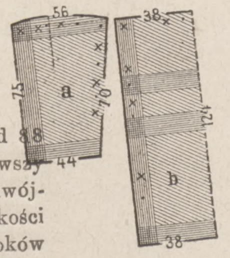
N. 27—29. i ryc. 26 i 27 w N. 29. **Sakiewki** szydełkowe.

Rycina 27 przedstawia sakiewkę z prostemi końcami którą trzeba zacząć od 88 o. pow. złączonych w kółko; przerobiwszy 2 rzędy o. ś. zaczyna się robotę podwójną przedstawioną w naturalnej wielkości na ryc. 29; w której dwa rzędy słupków stanowią tło pod rząd muszek wykonanie jest tak łatwe iż nie wymaga opisu. Po trzech rzędach muszek następuje tło z oczek ścisłych, przedzielanych jasnemi na tle ciemnem; po 10 rzędach roboty gładkiej, robi się znów trzy rzędy muszek poczem następuje środkowa część sakiewki z rozporkiem, składająca się z dwóch rzędów robionych na około, dalej 20 rzędów tam i napowrót złożonych naprzemian z 1 sł. i 1 o pow. Skończywszy rozporek dwa rzędy robią się znów w kółko a drugi koniec sakiewki robi się tak samo jak pierwszy. Oba końce zarabia się 1 rzędem o: ść: i jednym rzędem sł.za które przywiązuje się frendzla 6 cent. długa.

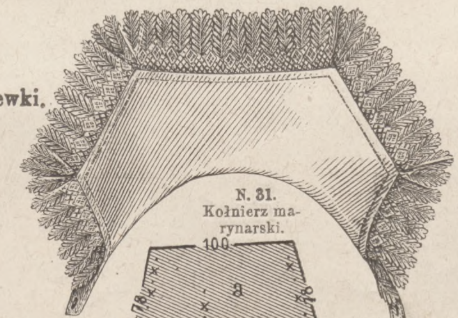
Rycina 28 przedstawia woreczek z jednym końcem zaokrąglonym a drugim prostym. Zaczyna się również od prostego końca na 88 o. pow: przerabia najpierw 8 rzędów jaśniejszym cieniem o: ść. Poczem następuje pas roboty jak na poprzedniej sakiewce (ryc. 29) z jedwabiu w 3-ch cieniach, wyżej znów 8 rzędów gładkich. Część środkowa sakiewki robi się tak jak w opisanej poprzednio; koniec okrągły robić jak prosty a po skończeniu nabiera się oczka w kółko, zamocowywa ściągnąwszy w środku i dodaje kwaścik. *(d. n.)*



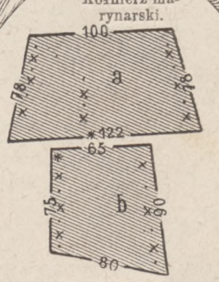
N. 30. Kołnierz dla dzieci.



N. 32. Model tuniki do ryc. w N. 29.



N. 31. Kołnierz marynarski.



N. 33. Model tuniki do ryc. 16.



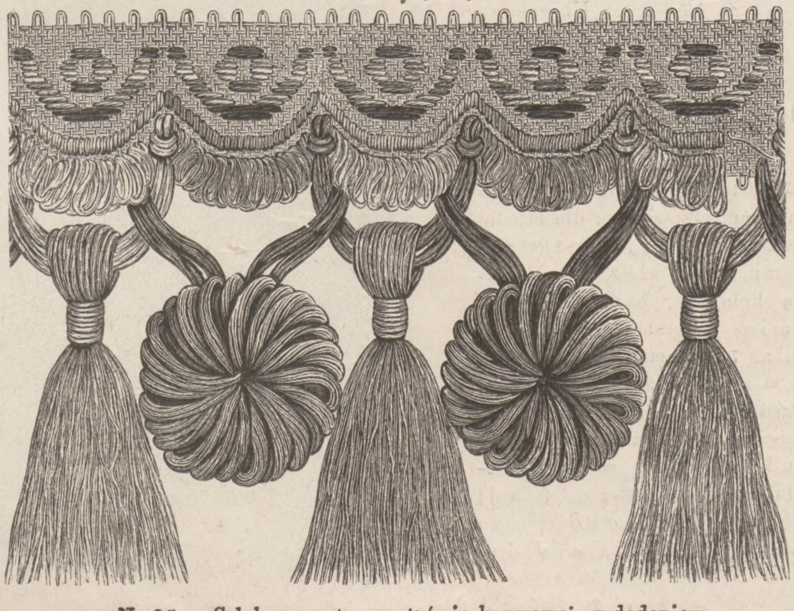
N. 34. Okrągły koszyczek do robót. Patrz lambrekina na ryc. 34.



N. 36. Bluzka dla małego chłopczyka. Patrz przód na ryc. 18.



N. 37. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki.



N. 35. Szlak wyszyty na taśmie kanwowej z dodaniem kwastów i rozet do koszyczka ryc. 34. Patrz ryc. 23.